

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

ŚWIAT

Rok XII. № 3 z dnia 20 stycznia 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie
„L'URBAINE”
Ulgi na wyp. niezł. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9785 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!
„ROZSTAJE”
St. Krzywoszewski
KOMEDYA W 3-ech AKTACH.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

22 STYCZNIA.

W rocznicę powstania styczniowego.

Rok ubiegły uczynił dla pamięci ostatniego powstania trzy pamiątkowe rzeczy: postawiono krzyż na stokach cytadeli, w miejscu, gdzie stracono Traugutta i jego towarzyszy—przemianowano ulicę z nazwiska karta na nazwisko ofiary — wzniesiono pomnik nagrobkowy na miejscu wiecznego odpoczynku przypadkowych ofiar pierwszych kul rosyjskich, lecących na Warszawę.

Nazwisko Traugutta zaślśniło w stolicy po raz pierwszy czią publiczną i powszechną. Pierwsze swobody wyniosły wysoko w popularności narodowej drogę to imię, które już obecnie stało się najwyższą reprezentacją, najrdzenniejszym symbolem Powstania. Do właściwej miary kurczą się inni powstaniowi dyktatorzy i naczelnicy Rządu Narodowego. Postać Traugutta wyrasta w cześć i pamięć narodu okazale.

Staje się żądzą sprawiedliwości. Jako dowódca, Traugutt nie odnosił zwycięstw. Jako kierownik rządu, nie okazywał sprawności wyjątkowej. Janko Sokół i Langiewicz i Chmieleński mają chlubniejsze karty wojenne od niego. Rząd Majewskiego był bez porównania sprawniejszy od dyktatury Traugutta. W niczem te zestawienia nie obniżają go jednak. Jako wódz, Traugutt działał na kresach, w otoczeniu wrogiem i obcem, nie mając za sobą tej rezerwy, jaką stanowiła otwarta granica austriacka. Jako naczelnik rządu, przyszedł, gdy akcja dyplomatyczna

państw już zawiodła, gdy wrześnieocy zdeorganizowały miejską organizację i porwali nici z prowincjonalną, gdy Berg wytworzył osobną policję, z oficerów rosyjskich złożoną, do specjalnego tropienia polskiego rządu.

Czemż jednak czcimy ponad innych działaczy powstania Traugutta? I czy słusznie czcimy go tak?

Słusznie. Jemu to zawdzięczamy, że zbrojny i śmiały ruch narodowy, poczęty z politycznego punktu widzenia lekkomyślnie, mający swoje karty mniej jasne i ludzi na szacunek narodowy nie zasługujących, zakończony straszliwymi klęskami i upadkiem polskiego ducha, zagrzmiął w ostatnich akordach dźwiękami, pełnymi siły i czystości, wielką miłością ojczyzny, bohaterstwem i ofiarnością.

Trauguttowi zawdzięczamy, że w 1864 r. „wszystko było stracone—oprócz honoru”.

A kiedy honor jest zachowany, to niema niczego, coby stracone było na zawsze. I przyszła oto chwila, kiedy zrzucano z ulicy warszawskiej tablicę z nazwiskiem Berga, która odpadła, jak szpetny strup z uzdrowionego ciała, a przybito na tem samym miejscu tablicę z imieniem Traugutta.

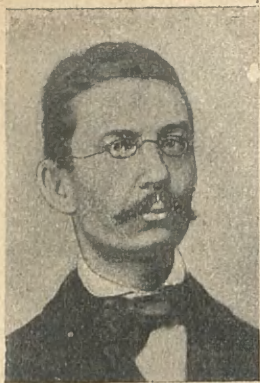
Musimy przyznać rosyjskim władzom z czasów powstania, że umiały dobierać ofiary do swoich szubienic. Co najlepszego, co najczystsze było w narodzie, to opromie-

niali męczeństwem najwyższem. Pięć ofiar 5 sierpnia, to z samej głębi serca polskiego wyrwane jądło. Wszyscy czysti i skromni, i obowiązkom oddani, niby kapłaństwu, i niezachwiani w długiej torturze więzienia i śledztwa, bez śladu w ich duszach osobistych ambicji, żądz władzy, które tak żywo przecież grały we wszystkich bez wyjątku licznych gabinetach Rządu Narodowego, aż do ujęcia steru czystą i mężną ręką Traugutta. Tak samo zginął Sierakowski na Litwie, tak samo i Rawicz na Podlasiu.

Oszczędzono tymczasem tych, którzy, choć równie w oczach rosyjskiej przemocy „winni”, należeli do drobniejszego gatunku moralnego: Majewskiego, Aweyde. Ci, i inni pokrewni, nie zdolni wrócić do cześci, wrócili jednak z zesłania do dobrobytu, do „radości życia”.

Traugutt wiedział, czem jest rząd jego. Nie był ani młodzikiem, ani zapaleńcem, ani chimerykiem. Manifesty, które pisał w swem mieszkaniu odosobnionem na Dolnej Smolnej, mogą razić zanadto trzeźwych ludzi szerokim gestem przekonanego państwowca polskiego. Tak, to prawda, co ci ludzie nam powiedzą, że Traugutt nie mógł wierzyć w to, iżby Hauke i Chmielewski zdołali zrobić w 1864 r. to, czego w pierwszej połowie 1863 r. ani Wysocki, ani Kaczkowski uczynić nie zdołali: zreformować powstańcze oddziały w regularne polskie wojsko. I w to wierzyć nie mógł, aby jego rozkazy zdołały przeprowadzić uwłaszczenie chłopów, manifestem 22 stycznia 1863 r. nakazane. Ale wiedział, że jego manifesty do narodu i do wojska i do włościan są wielkimi aktami polskiego prawa do życia, i wolności, i szacunku. I że relikwią narodu się staną. I że historia je polczy. Miał program krótki i jasny: *ocalić narodowi honor i prawo.*

Nie chcę przez to powiedzieć, iż był on bez nadziei. Że np. tylko szczytną komedię grał, gdy prowa-



Rom. Traugutt, głowa Rządu Narodowego, stracony na stokach cytadeli 1864.

uczucie, to, co Szujski tak pięknie potem słowami wyraził: „Ma historia dni, w których wszystko jest zadziwiającem, niespodzianem, w których staje *post nubilia Phoebus*, w których Bóg śle jednego człowieka i daje mu moc wielką, organizatorską, swoją własną poniekąd, jakiej nie miał chaos tysięcy“. Nic w skromnej postaci Traugutta nie wskazuje, aby miał w sobie widzieć zadatkę podobnego pomazania. Ale wierzył on niezawodnie w cud, w „polski cud“ i dlatego uważał za rzecz próżną i za dzieło głupca „rozstawać się z nadzieją“.

Kiedy więc Napoleon III, zawiedziony w swych planach interwencji i w swym projekcie kongresu, nie bez wyrzutu sumienia zapewne, boć to on swem „Durez!“ rozlał niemato krwi polskiej, wezwał do Tuilleries Władysława Czartoryskiego i powiedział mu: „Nie liczcie na Europę, nie ona dla was nie uczyni“ — był to ciężki i bolesny cios dla Traugutta, ale nie był to cios zabójczy, nie był to *Stoss ins Herz*. Wyroków Europy nie dość było dla tego człowieka, aby go wiary w Polskę pozbawić. Na to trzeba było pierwej pozbawić go życia.

To dzięki Trauguttowi głównie historia powstania roku 63 i 64 nie jest dla polskiego czytelnika nad miarę bolesną. Wybuch 22 stycznia był aktem gorączki, nawet nerwowości, boć jeszcze w końcu grudnia Centralny Komitet Narodowy skonstatował, że „nie do powstania nie jest gotowe“, boć jeszcze w połowie stycznia członkowie jego głosili urzędownie i gońców na prowincję stali z wieścią, że „na teraz powstania nie będzie“. W lutym już niema wcale w Warszawie rządu narodowego, podczas gdy zbrojny ruch do apogeum zmierza. Na mowo tworzy rząd napoleoński „durez!“, ale on się zaraz rozlata; znowu go tworzy sekwestr w Banku Polskim przez Waszkowskiego, a wtedy na czele gabinetu staje student, który niedawno swoją wymo-

wą studentów Szkoły Głównej od powstania odwiódł; wrześniowcy zmiatają ten rząd, aby stworzyć chaos i uciec za kordon. Obok zdolności niewątpliwych, błyskających często w tych aktach rządowych, obok organizacyjnej zdatności polskiej wyjątkowej, obok dobrej woli, którą widać wszędzie i ciągle, a którą uwidocznia i której dowodzi samo niebezpieczeństwo, wiszące, jak miecz, na włosku nad głową tych mężów, grają tu ustawicznie jednak i ambicje, i zawiści, i współzawodnictwa. Przychodzi wreszcie Traugutt i atmosfera Rządu Narodowego staje się odrazu czystą, a tylko szlachetne dźwięki w niej dzwonią. Odnajdują się zaraz ludzie jednolici wokół na-

czelnika rządu, mający wszystkie cnoty poprzedników, a słabości ich pozbawieni. Rząd Narodowy przemawia teraz językiem męskim, powagą pełnym i śle za granicę noty poprostu wzorowe. Przestaje wreszcie być siedliskiem niepokojów i przedmiotem „walk o pieczętę“.

Z wyżyn niemałych los stracił polski wysiłek ku prawu i wolności. Najpiękniejsze, najświatlejsze karty Powstanie zapisało na końcu swej ofiarnej księgi. Blask wielkie rozsłoneczniły zachód dnia powstaniowego. Traugutt był także człowiekiem, któremu „Bóg powierzył honor polaków“ i który „wiary dochował, powinność wypełnił“.

Wincenty Kosiakiewicz.

Główka, wyrysowana na zarysie organizacji powstania

(Maryan Langiewicz i Henryka Pustowójtówna).

Leży przedemną pośódkły arkusz papieru. Zapisany cały pismem generała Langiewicza. Internowany był w Tyszniovcach na Morawii i pi-

wach wojennych i administracji, niektórzy wyrobili się na dość dobrych dowódców, ale powstanie nie stało się narodowem, masy stoją po za niem“... Więc troska przejmując duszę dyktatora i zadaje pytanie: co robić? „jakim sposobem powiększać liczbę“ bojowników przeciw Rosyi? skąd brać amunicję? wreszcie: jak zwalczać wroga, jego centralę („kancelaryę warszawską“)? Więc pisze:



Gen. Maryan Langiewicz, dyktator powstania.

sał o krótkich dziejach swej dyktatury, wysnuwał wnioski z dotychczasowego przebiegu walki z Rosją, czynił obrachunek sumienia i narodowego i swego. Był to kwiecień 1863 roku. „Powstanie w Królestwie Kongresowem — pisze Langiewicz na tym żółtym arkuszu papieru — już prawie 4 miesiące istniejące, wzmogło się wprawdzie intensywnie, ale się nie powiększyło extensywnie. Powstańcy nabrali nieco hartu, oswoiili się z niebezpieczeństwem, nauczyli się nieprzyjacielowi patrzeć w oczy, nabyli nieco wyobrażeń o spra-



Henryka Pustowójtówna, adyutant dyktatora Maryana Langiewicza.

„Zadaniem powstania jest: 1) systematycznie niszczyć a przynajmniej utrudniać komunikację pomiędzy kancelaryą warszawską a sztabami dywizyjnymi; 2) utworzyć centra powstańcze, operujące systematycznie przeciw pojedynczym dywizjom moskiewskim“...

Tak pisze generał Langiewicz w więzieniu i nagle dusza jego ulatuje na skrzydłach tęsknoty hen, w świat i wyobraźnia jego wyczarowuje obraz... Poprzez mury więzienia jakby wpadł promień słońca... I na arkusz papieru, zawierający zarys organizacyjny powstania, pada ten promień... Langiewicz na powyżej przytoczonych słowach rysuje główkę dziewczęcą, główkę Henryki Pustowójtówny... Jakież kontrast między słowami a rysunkiem! Plan walki i wypieszczona tęsknotą główka dziewczęcą. Powiedzą ludzie: niewłaściwy sentyment. Tak, tak. Ale: „nihil humani...“ Mnie ta główka Henryki, wyrysowana przez dyktatora na skrypcie wojskowym, nie razi. Przeciwnie: postać Langiewicza uczłowiecza, z po za polityka i oficera, działacza i wodza, daje nam poznać człowieka...

Jakież był stosunek Langiewicza i jego „adytanta“? Całe góry ludzkiej zawiści i złości na ten stosunek rzucono. Wszak nawet oficjalny komunikat rządowy, gdy Langiewicz starał się o zwolnienie z internowania i pozwolenie wyjazdu do Szwajcarii, czynił mu zarzut, że w chwili, gdy go internowano, była przy nim w przebraniu męskim kobieta...

Nieco światła na ten stosunek rzuca kilka listów, znajdujących się w moich zbiorach.

Henryka Pustowójtówna przekroczyła 19 marca 1863 wraz z dyktatorem granicę i została podobnie, jak on, internowana. W roku 1864 Pustowójtówna była internowana w Pradze, Langiewicz w Josefstadt. Piśze wtedy do Langiewicza:

Praga, 16 kwietnia 1864 r.

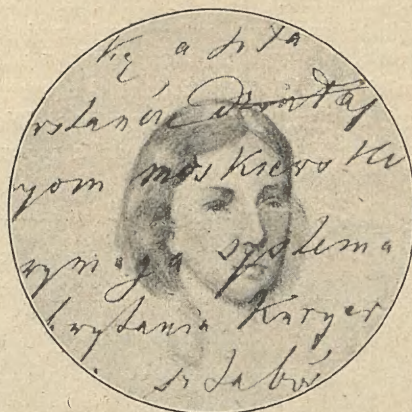
...Dziwicie się, iż Wam nie odpisałam; dopiero przed dwoma dniami odebrałam oba Wasze listy w Pradze, więc spieszę Wam z odpowiedzią... Temi dniami wpadła mi w ręce broszurka, którą Wam posyłam; po przeczytaniu jej osądzcie, jak sowitą nagrodę odebrałam za bezinteresowne ukochanie sprawy. Smutno mi się zrobiło, iż z najszczęśliwszych i bezinteresownych chęci wyśmia-

no się i wyszydzono. Bóg z nimi! Taką zapłatą najmniej kosztowną, ale wątpię, czy pożyteczną, gdyż zniechęca. Ja jestem po raz drugi internowaną w Pradze, możecie śmiało do mnie pisywać. Polonii tu dużo. Napiszcie, czy można się z Wami widzieć, toby Was odwiedził mój daleki kuzyn, niejaki Kowalski, miałby z Wami dużo do pomówienia, a gdyby i trza, to kilka dni by u Was zabawił.

Tout à Vous

Henryka.

Adres: Rue Cracovienne Nr. 1362.
Henriette Pustowójtow. Prag.



Główka, wyrysowana ręką dyktatora na projekcie wojskowym powstania.
(Ze zbiorów dra B. Merwina).

Dalszy, bardzo interesujący dokument, tyczący się Henryki Pustowójtówny, pochodzi również z ręki kobiecej. Anna Zienkiewiczowa, żona Leona, z którym Langiewicz utrzymywał żywą korespondencję, pisze z Paryża — gdzie i Henryka przebywała — do Langiewicza. Zarówno Zienkiewicz, jak i żona, starali się zbliżyć dyktatora z Pustowójtówną. Z listu, datowanego 26 czerwca 1866 r., przytaczam najpierw ustęp pisany przez Zienkiewicza, a potem przez jego żonę:

Kochany Generale... Mnóstwo wiadomości pobieżnych prześle Ci pewnie panna Henryka, która pod tym względem ma daleko więcej łatwości objaśniania, a która, mówiąc nawiasem, zastępuje w domku naszym świętą męczennicę naszą i jako taka przyjęta w nim i uznana, zdaje się miłość naszą dla niej odpłacać w tajemności. Mówiłem i powtarzam: wyższa to kobieta! I jeżeli przecznica mnie nie myła, należy do tych kamieni, które, odrzucone chwilowo, stać się mogą głową węgielną sui generis. Niech mi wolno będzie i do Ciebie to zastosować...

List Anny Zienkiewiczowej brzmiał:

Kochany Generale! Pewnie już panna Henryka napisała wszystkie wiadomości, obchodzące Generała, ja zaś, żyjąc samotnie, nie wiele udzieliłbym ich mogła; jeśli jednak będzie co takiego, to z przyjemnością to zrobię. Miło nam bardzo z p. Henryką, odwiedza nas; poznawszy ją bliżej, widzę, że to nie jest pospolita kobieta; szuka serc odpowiednich jej marzeniom, jej uczuciom, i może w starych znajdzie to, czego napróżno między młodem wynaleźćby rada. Wszak i my marzyciele, bo lat trzydzieści żyliśmy marzeniami, i choć zgnębieni tylu nieszczęściami i przeciwnościami... Niejedno samolubne, egoistyczne serce przewyższy kobietą, która dała dowodów tyle swego poświęcenia i podległa tak ostrej ludzkiej krytyce; zasługuje tem bardziej na współczucie ludzi, którzy nie zwykli chleb odpłacać kamieniem.

Prawdziwa przyjaciółka

Anna Z.

W tym czasie Pustowójtówna żyła w Paryżu w wielkich niedostatkach, opuszczona i chora... Dowiadujemy się o tem z listu Zienkiewicza do dyktatora:

Panna Henryka prawie codziennym jest u nas gościem, uszczęśliwiona, jako ciągle powtarza, że w nas odszukała miłość rodzicielską, której potrzebowała tak bardzo, a której, że na nią zasługuje istotnie w przekonaniu naszym, staramy się dawać wszelkie możliwe dowody... Zdrowie jej bardzo zachwiane, doktorowie radzą kąpiele morskie konieczne i aż trzy miesiące, czego wykonanie jest dla niej zupełnem nieprawdopodobieństwem. Biedna istota. Ofiara tak wielkiego, rzadkiego poświęcenia! Gdzie też są one serca naszych panów szlachetne? Niegodziwi!!! Dosyć tego, bo chociaż żelazne, gotówbym pióro strzaskać z oburzenia...

Właśnie wtedy Langiewicz wybierał się na Wschód. Z Henryką Pustowójtówną więcej się już nie zobaczył...

Dr. Bertold Merwin,
porucznik W. P.



Pamiętajcie o wpisach szkolnych.

Wszelkie ofiary przyjmuje Administracja „ŚWIATA“ Zgoda № 1.

RADA STANU.

W dążeniu do urzeczywistnienia państwa polskiego, uroczyste przez dwóch monarchów zapowiedziane w d. 5 listopada, wydana została 26 listopada 1916 r. ustawa o Tymczasowej Radzie stanu. Miesiąc grudzień upłynął na układaniu listy 25 radców.

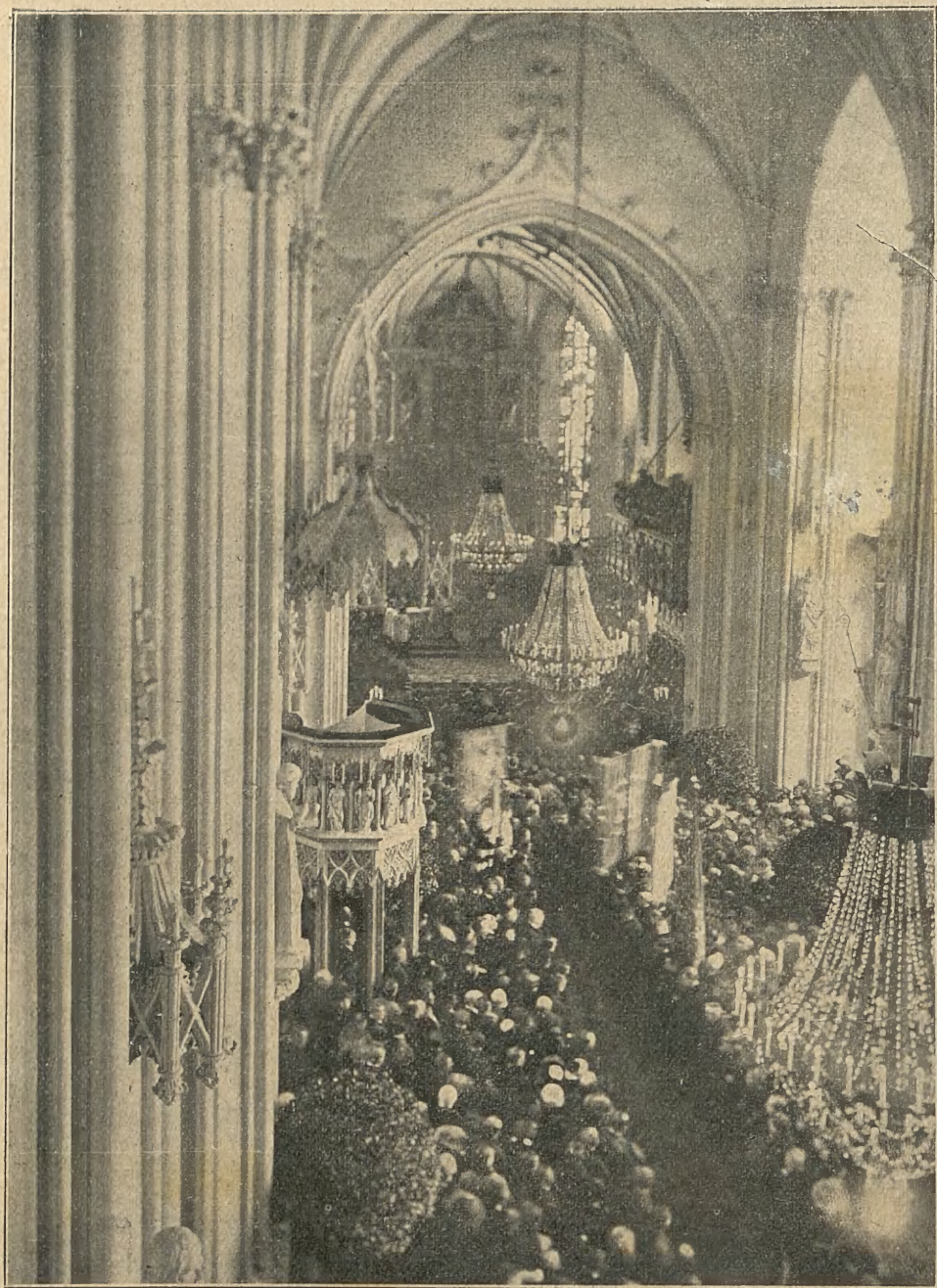
System przyjęto w części reprezentacyjnej: 15 radców wybrano z okupacji niemieckiej, 10 z okupacji austr.-węgierskiej. Partye aktywistyczne: Stronnictwo Pracy Narodowej, Narodowcy, Liga Państwowości Polskiej, Klub Państwowców, Centralny Komitet Narodowy wysłały swych członków, którzy jednak nie

są w Radzie Stanu przedstawicielami swoich partyi, lecz dobra ogólnego. Również i stany są reprezentowane: duchowieństwo, ziemiaństwo, inteligencja, robotnicy, lud wiejski.

W dniu 14 stycznia r. b. na Zamku otwarto uroczyste Radę Stanu. Dokonali tego, z polecenia dwóch monarchów, gen.-gubernator von Beseler i gen.-zbrojmistrz Kuck. Obaj generałowie wskazywali na znaczenie wskrzeszenia państwa polskiego i wyrazili przekonanie o zdolności polskiej do samodzielnej egzystencji. Artykuł powitalny urzędowej *Warschauer Ztg.* w komentarzu do tej uroczy-



Ks. kanonik-infułat Przeździecki w rozmowie z hr. Lerchenfeldem, komisarzem niemieckim przy Radzie Stanu.

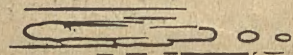


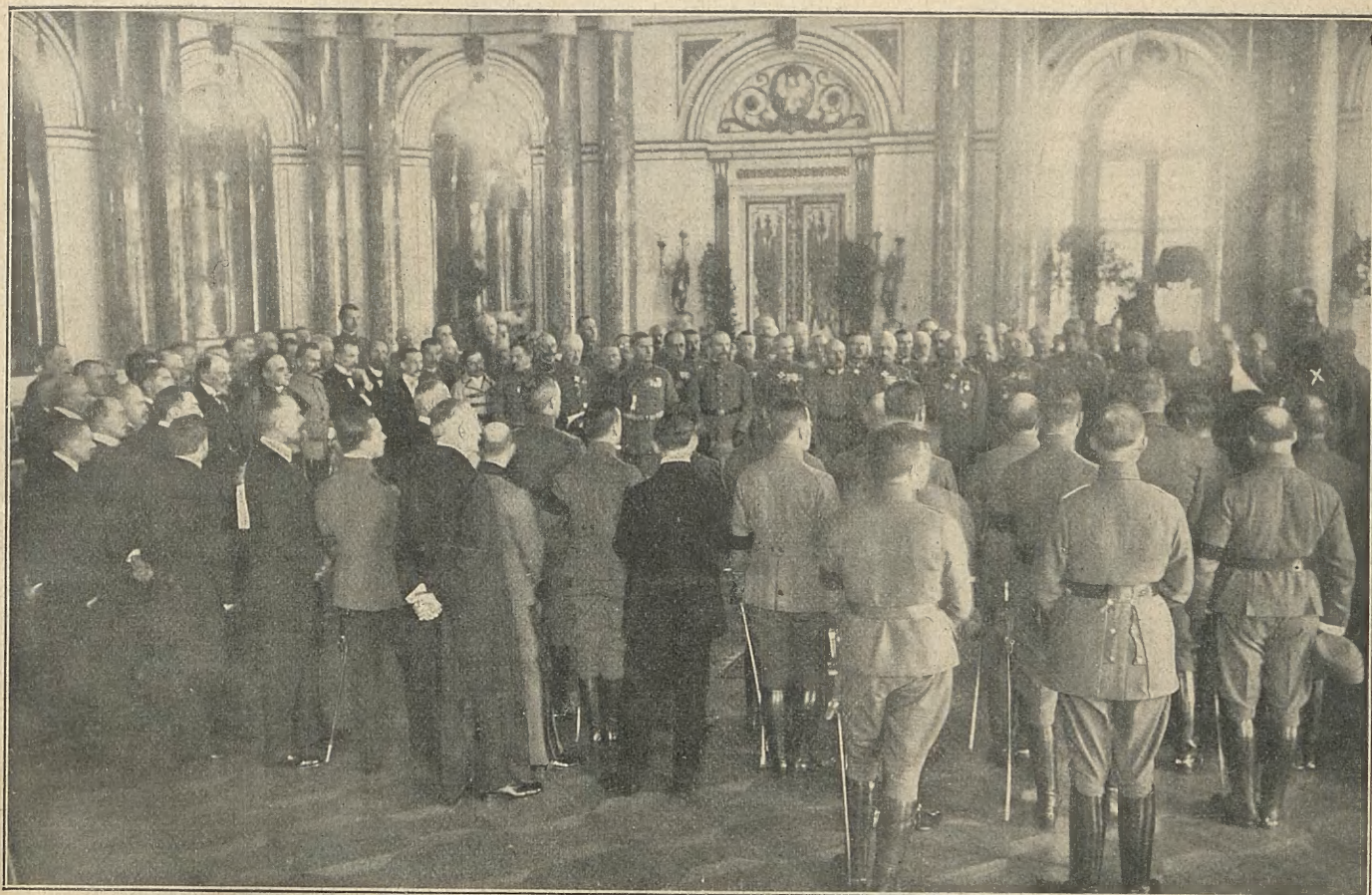
W katedrze podczas uroczystego nabożeństwa d. 15 b. m., odprawionego przez ks. pr. Przeździeckiego na intencję Tymczasowej Rady Stanu.

stości przypominała, że uznanie państwa nowego przez inne jest aktem, nieraz późnym, nie przeszkadzającym do organizacyi nowego utworu; że wola narodu stanowi tu czynnik decydujący; przestrzegający jednak, że nie każda narodowa grupa, która wystąpi ze złe przez historję i cywilizacyę popartemi pretensjami, ma już prawo do państwowego bytu. W imieniu Rady Stanu odpowiedział p. Wacław Niemojowski, podkreślając poczucie odpowiedzialności, jakie żywią wybrani do ciężkiego zadania, i pragnienia, aby dla wypełnienia misji polskiej granice państwa polskiego dostatecznie rozszerzyły się na Wschód na ziemiach, rosyjskiemu zaborcy odebranych.

W dniu 15 b. m. odbyło się uroczyste nabożeństwo w katedrze, odprawione przez ks. H. Przeździeckiego, członka Rady, w asystencji kleru. Odśpiewano „Veni Creator“ i „Boże coś Polskę“. Później radcowie Stanu i komisarze zebrali się w Pałacu Rzeczypospolitej na Placu Krasieńskich na pierwsze zebranie. Śród sześciu komisarzy rządów centralnych pięciu jest Polaków, a szósty, Bawarczyk, hr. Lerchenfeld, nauczył się po polsku i sam swoje mowy niemieckie tłumaczył. Pierwszą czynnością Rady Stanu były wybory swego prezydium. Głosowanie dało natychmiastowe rezultaty i wybrani przechodzili większościami, zbliżonemi do jednomyślności.

Marszałkiem koronnym został p. Wacław Niemojowski. Jego towarzyszem prof. Mikułowski-Pomorski. Sekretarzem p. A. Śliwiński. Jego towarzyszem p. A. Łuniewski.





Dnia 14 b. m. gen. gubernatorowie Beseler i Kuck na zamku warszawskim po przemówieniach wręczyli członkom Tymczasowej Rady Stanu dyplomy, które zostały przez cesarza niemieckiego i austriackiego potwierdzone. Na przemówienie gubernatorów odpowiedział marszałek koronny Wacław Niemojowski.

Fot. Maryan Fuks.

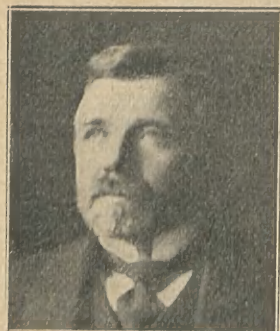
Pierwsze uroczyste posiedzenie Tymczasowej Rady Stanu w Pałacu Rzeczypospolitej.



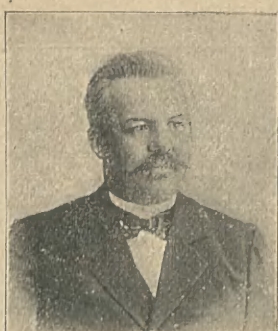
Dnia 15 b. m. na pierwszym posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu w Pałacu Rzeczypospolitej dokonano wyborów i na marszałka koronnego wybrano Wacława Niemojowskiego, na wicemarszałka Józefa Pomorskiego-Mikułowskiego, na sekretarza Artura Śliwińskiego i na zastępcę sekretarza Antoniego Łuniewskiego.

Fot. Maryan Fuks.

Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego.



Bukowiecki Stanisław.



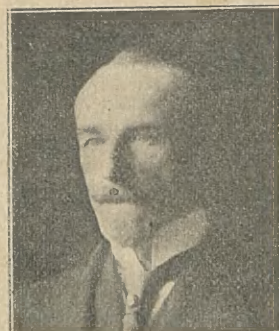
Dzierzbicki Stanisław.



Dziewulski Stefan.



Grendyszyński Ludomir.



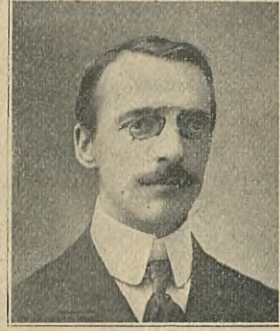
Górski Ludwik.



Janicki Stanisław.



Jankowski Paweł.



Kaczorowski Antoni.



Kozłowski Józef.



Kunowski Włodzimierz.



Łempicki Michał.



Łuniewski Antoni.



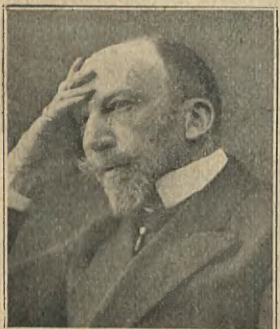
Maj Andrzej.



Mikułowski - Pomorski J.



Natanson Kazimierz.



Niemojowski Wacław.



Piłsudski Józef.



Ks. H. Przedziecki.



Ks. Radziwiłł Franciszek.



Hr. Rostworowski Wojciech.



Sokołowski Wiktor.



Stojowski Stanisław.



Szczęsny Stanisław.



Szczęsny Stanisław.



Szczęsny Stanisław.



Marszałkowi koronnemu p. W. Niemojowskiemu komendant hr. Szeptycki składa powitalny raport: „Wojsko polskie wita prawowity Rząd Królestwa Polskiego”. *Fot. A. Dulęba.*



Po wręczeniu członkom Tymczas. Rady Stanu mandatów odbył się na zamku „Cercle”.

Z zamętu narodowościowego.

Innego rodzaju form i zjawisk szczytkowych pełno również na wielkim nasypisku plemion Europy. Znajdziemy je przede wszystkim w tem, dokoła czego duma narodów owija się niby dokoła sztandarów: w ich nazwach. Są one bardzo często, wbrew owej dumie, obcego pochodzenia. Celtycko-romańska Francja wstąpiła w dzieje z germańską etykietą, wziętą od zdobywczego plemienia germańskiego, franków. Dzi-

sięjsza pra-niemiecka Frankonia i Francja, dwa wrogie pojęcia, łączą się we wspólnej nazwie. Wyjątkowy chaos wytworzył się dokoła narodowej nazwy angielskiej. Nazywamy anglików anglo-sasami. Jednakże oba człony tej nomenklatury są znowu rdzennie-niemieckiego pochodzenia. Anglowie i sasi, to dwa zdobywcze szczepy niemieckie, które w V i VI w. zastajemy w dzisiejszym Szlezwiku, u ujścia Łaby, a z których

133
drugi spotykamy dziś — o ile o nazwę chodzi — w zgola innej stronie Niemiec, osiadłych na dawnej ziemi słowiańskich Serbo-Lużyczan. Narodowy dźwięk „Anglia” jest więc takim samym obcym nalotem, jak Francja. I druga nazwa dumnej wyspy, Wielka Brytania, aczkolwiek bardziej miejscowego pochodzenia, musi dzisiejszym swym panom brzmieć, jak pożyczka. Jest ona wszak spadkiem po celtyckich Bretonach. Wielkiej Brytanii, niby echo odpowiada jeszcze dziś mała celtycka Bretonia, po drugiej stronie kanału. Północno-francuska „Normandya”, to inne znowu wspomnienie dawno przetoczonej obcej fały z głębin Skandynawii. Z imienia groźnych i wspaniałych zdobywców normandzkich, którego gromowe echo rozległo się po całej Europie, pozostał tylko ten lokalny dźwięk na małym skrawku francuskiej ziemi. Lista tych pożyczek jest nieskończona. Dawni belgowie celtyccy znikli — nazwa, znowu kaprysem historii, zachowała się jako dziedzictwo flamandów i walonów, dwóch ludów zgola odmiennego pochodzenia, które mimo to w poczuciu własnym tworzą jeden „naród”. Nasypisko szwajcarskie, które wykazuje analogiczny „naród”, tym razem trójjęzyczny, powstało na ziemi dawnych helwetów, znanych z Cezara. Tu nazwa przedwieczna znikła z codziennego życia, ale „Helvetia” żyje jeszcze świątecznie na — znaczkach pocztowych szwajcarskich, ostatni cień przeszłości. Po światowładnej Rzymie nazwę biorą najmniej uprawnieni do tego, dalecy, nadczarnomorscy zromanizowani dakowie — rumuni (romani) i drobny ludek reto-romański w Alpach, gdy najbliżsi i terytorjalni dziedzice Romy, włosi, biorą nie plemienną, lecz polityczną nazwę rzymian: Italia, Italowie. Nie brak tych zgola niespodziewanych przeskoków szyldów historycznych i w Słowiańszczyźnie. Imię olbrzymiej, stumilionowej grupy ludów wschodnio-słowiańskich — Ruś wywodzi się od jakiejś sobie rzeczki skandynawskiej, skąd Wariago-Rosy, normandowie wschodu europejskiego, ruszyli na swą zdobywcą wędrówkę. Zupełnie analogicznie powstała nazwa (i państwo) Bułgarów, pochodząca od turańskich najeźdźców z nad Wołgi. Zdobywcy wsiąknęli w miejscowy lud słowiański, zostawiając po sobie tylko organizację państwową i imię, dane im zresztą przez podbi-

tych słowian. Ale pierwsze, niesłowiańskie państwo bułgarów (wołgarów) istniało około roku 680 istotnie nad — Wołgą; gruzy jego kwitnącej niegdyś stolicy znajdują się dotychczas około osady czuwaskiej „Bołgary“, a tamtejsze plemię czuwaszów, które w swych świetnych czasach zapędzało się aż na Bałkany, to ni by polityczni przodkowie bułgarów w Europie.

Wynikiem ścierania się i przenikania plemion jest wreszcie osobliwe zjawisko, iż wspólna nazwa historyczna służy dziś odłamkom dwóch zupełnie różnych narodów. Zjawisko to spotykamy mianowicie — u nas. Nazwa litwinów stała się wspólna dla trzech grup plemiennych dawnego W. Ks. Litewskiego: litwinów, polaków i białorusinów, przyczem podstawy tej wspólności wypływają z głębszych źródeł, niż polityczne, gdyż znaczna część litwinów-polaków, to istotnie litwini z krwi, o polskiej kulturze i ideałach. W innej postaci występuje to zjawisko dwoistości języka a tożsamości nazwy i w rdzennych naszych ziemiach, mianowicie zachodnich. Nazwa ślązak oznacza pewien odłam narodu niemieckiego i pewien odłam polskiego, gdyż istnieje Śląsk niemiecki (dolny i średni) i polski (górny). Jest to potężny dla nas w swej wymowie skutek procesu dziejowego, jaki odbywa się w tym kraju, niegdyś całkowicie polskim. Mniej znanym u nas jest fakt istnienia innej podobnej wspólnoty nazwy: Mazowsza polskiego i Mazowsza niemieckiego. Ta ostatnia odnosi się do części t. zw. mazurów protestanckich w Prusiech książęcych, gdzie w pewnych okolicach ludność, mówiąca już językiem niemieckim, jako ojczyństwem, zatrzymała jednak starą swą nazwę mazurów, nawet w warstwie wykształconej (na uniwersytecie w Królewcu istnieje niemiecki związek studencki „Masovia“, w którym śpiewany bywa hymn „Masovia lebe, mein Vaterland“). Osobliwość etniczna, jaką jest wspólność nazwy dla odłamów dwóch różnych narodów, występuje w bardziej jeszcze skomplikowanej postaci, a przedewszystkiem na szerszą skalę, w ukształtowaniu się pojęcia Prus. Komplikacja polega na tem, że nazwa prusaków jest pozostałością po plemieniu dawno wymarłym. Należało ono, jak wiadomo, do rodziny językowej litewskiej i zajmowało obszary od prawego

brzegu dolnej Wisły aż po Królewiec z odpowiednią podstawą w głębi kraju, a więc na przestrzeni dzisiejszych Prus królewskich i książęcych, czyli zachodnich i wschodnich. Miejsce wymarłych, względnie wytępionych prusaków, z którymi uporczywie i długoletnie walki staczali zarówno nasi Piastowie, jak Zakon krzyżacki, zajęli osadnicy napływowi, polscy i niemieccy, lecz nazwa pierwotnych mieszkańców kraju zachowała się. Przy upadku Zakonu zachodnia część Prus dostała się Rzeczypospolitej, wschodnia (językowo wówczas przeważnie polska), zamieniona w osobne księstwo, stała się podstawą późniejszego rozległego państwa pruskiego, które z czasem dotarło aż do Renu: tym sposobem, z rozszerzeniem się Prus, nazwa po wymarłym drobnym plemieniu letońskim przeszła na olbrzymi odłam niemieckiego narodu, skoro do nazwy tej wszelako i odłam narodu polskiego ma zupełnie uzasadnione prawo, skoro dzisiejszymi tubylczymi mieszkańcami właściwych, starych Prus (królewskich i książęcych) są zarówno polacy, jak Niemcy. Pierwotne, gniazdowe Prusy, to część i etnograficznej Polski, zaś polak-prusak jest tak samo odmianą typu ogólnopolskiego, jak polak-kujawiak lub podlasiak i podobnie, jak odmianą typu ogólnoniemieckiego jest Niemiec-prusak i Niemiec-bawarczyk. Prusacy-Niemcy przeważają znacznie liczbą, prusacy-polacy żyją tu przecież w liczbie około 900.000, z czego na Prusy zachodnie przypada 600.000, na wschodnie 300.000.

Wszędzie, gdzie przyroda poskąpiła naturalnego wału granicznego, oddzielającego od siebie różne osiedlenia narodowe, spotykamy, podobnie, jak na naszym zachodzie i

wschodzie, to zjawisko wzajemnego przenikania się i wciskania w obce obszary. Linia pograniczna biegnie poszarpana czasem w strzepy; pełno w niej załamań, zatok, wązkich języków, sięgających daleko od podstawy macierzystej, całe wreszcie archipelagi wysp, bądź zwolna niknących, bądź coraz to przybierających na obwodzie: niezawodny znak, że tu nie należy szukać sielanki sąsiedzkiego pożycia. Ale wszystkie te enklawy pograniczne, typowe wszędzie, gdzie miłujących się bliźnich nie odgradziła od siebie wysoka góra ani głęboka rzeka, gdzie równinne położenie i brak wszelkiej zapory zapraszały wprost do rozszerzenia „stanu posiadania“, są niczem wobec istnego bigosu narodowościowego, jaki wykazuje Macedonia lub Banat węgierski. Dość spojrzeć na mapę, aby załamać ręce nad złudą rozgraniczenia interesów w tej szachownicy plemion. Stąd, z macedońskiej zbieraniny wszelkich możliwych „mniejszości“ oryentu europejskiego, buchał ów nieznuzony złowrogi płomień, co kopiąc i smoląc pod przysłowiowym bałkańskim kotłem — podpalił wreszcie połowę świata.

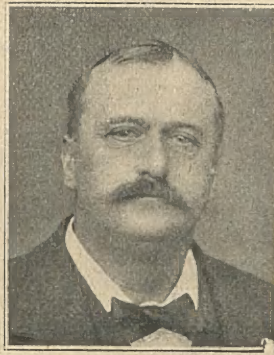
Spłot znacznej części tych zajeźbień, uwarstwowień, nalotów, okaleczeń, cały ten nieraz dziwaczny rezultat wielowiekowego procesu ścierania się ludów i ich walki o lepsze miejsce na ziemi — oto część integralna i nowoczesnej kwestyi narodowościowej w Europie, kwestyi, nad której choćby częściowem uprządkowaniem oczekiwany kongres dyplomatów biedzić się będzie prawdopodobnie, a dalsze, wiekuiście ruchliwe, zmienne i niepowstrzymane życie — napewno.

A. Chołoniowski.

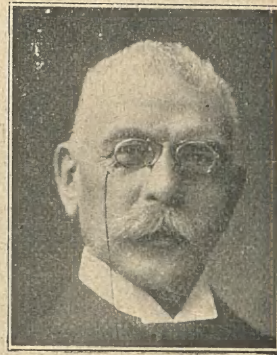
Dania dla Polski.



TROELS HOLTEN-ANDERSEN, dyrektor Centrali robotniczej,



ADOLF TESTORFT, łowczy dworski,



Prof. H. ELLINGER, dyrektor Akademii rolniczej w Kopenhadze,

zajmowali się w Danii gorąco sprawą pomocy dla Polski, a prof. Ellinger przywiózł żywność i odzież dla ludności zniszczonego kraju.



W Tow. Zachęty wystawił art.-malarz, Jan Gumowski, kolekcję swoich doskonałych, o dosadnej charakterystyce rysunków i obrazów z wojny. Rysunki te pochodzą z przeżyć i obserwacji, jakich dostarczyła artyście bezpośrednio służba w I Brygadzie Piłsudskiego. Niemal pod ogniem szrapneli robione obrazy te i rysunki tchną prawdą i utajonym żołnierskim sentymentem. Rysowane są przytem z plastyką i dużym rozmachem. P. Gumowski chwytą podobieństwo bohaterów swoich w lot, nie poprzestaje jednak na dorywczej notatce, umie rysunkom swoim przez petyzm i wykończenie nadać cechę dzieła sztuki. Akwarelowy portret wodza, Józefa Piłsudskiego, przykuwa uwagę nie tylko ze względu na popularną i ukochaną postać komendanta. Gumowski w portrecie tym objawił moc, pokazał urok, jakim promieniuje żołnierska postać brygadiera.

Inne portrety też przekonywają śmiałą linią charakterystyki, pokazują indywidualność tak artysty, jak i osób portretowanych. Każda fizyonomia mówi o odrębnym, wyłącznym świecie. Gdy na jednym obrazie zobaczymy kilka głów, kilka postaci — to Gumowski umiejętnie scharmonizuje w układzie i kompozycji ich odrębne, charakterystyczne cechy. Narada oficerów sztabu jest takim umiejętnie scharmonizowanym i kompozycyjnie konsekwentnie przeprowadzonym rysunkiem.

Pejzaże p. Gumowskiego mówią też o sentymencie, z jakim artysta podchodzi do natury. Wybiera przytem chętnie szerokie płaszczyzny, las męci go i wabi, a i koń też przykuwa jego uwagę, co każe się spodziewać, że p. Gumowski w przyszłości przysporzy laurów polskiej batalistyce. Na czoło wystawy dziś wysuwają się portrety p. Gumowskiego, które mówią o pewności ręki artysty i odślaniają przed widzom mocną i zwartą indywidualność malarską.

W klubie artystycznym w „Polonii“ otwarto też pierwszą wystawę sekcji plastyków tego stowarzyszenia. Na całość wystawy złożyły się prace prof. Wittiga, pp. Żaka, Huzarskiego, Grządkiewicza, Witkowskiego, Szymanowskiego, Toma, Kramsztyka i in. Sprawozdanie wraz z reprodukcjami z tej wystawy zamieścimy w numerze następnym naszego wydawnictwa.

Dr. Z. M.

Puryszkiewicz zabił Rasputina. Zły demon Rosyi Grzegorz Rasputin przesłał więc wpływami swemi rządzić w Petersburgu. Przez długie lat dziesięć zjawiał się na pokojach dworskich i niósł zagładę wszelkiej myśli wyzwolenczej



G. Rasputin, zły demon Rosyi.

rosyjskiej. Obalał ministerya zbyt liberalne, wpływał na uchwały św. Synodu, a nawet do spraw wojskowych umiał się wtrącać, przez co dowództwa armiami dostawały się tylko w ręce pomazańców Rasputina.

Kim był ten człowiek? Zwyczajny chłop-gospodarz z gubernii Symbirskiej, ze wsi Pokrowskoje. Oddawał się praktykom religijnym bardzo sumiennie. Koło niego zgrupowali się włościanie i wło-

*Ескеру сообраз
рыоуамъ серж
мъ жено-ва*

*мо онъ сообра
белъ серж*

Autograf Rasputina.

ścianki, którzy za jego wskazaniem też dążyli do uszczęśliwienia i zbawienia dusz swoich. Sława Rasputina niebawem wybiegła po za wieś rodzinną i dotarła do Petersburga, dzięki pewnej generałowej, która poznała go w Pokrowskoje i odkryła w nim cudotwórcze właściwości.

G. Rasputin rozpoczął wtedy karierę w Petersburgu. Głosił słowo Boże po pałacach i salonach możnych dygnitarzy rosyjskich. Gdy dostał się na dwór —

był w pełni powodzenia. Na dworze ując potrafił sobie cesarzową i wkrótce stał się mężem zaufania samego cesarza. Rasputin jest monarchistą antikonstytucyjnym i w tym duchu pracował w sferach dworskich. Wpływ przemożny Rasputina datuje się od czasów III-j Dumi. Wtedy to dzięki niemu zaczęto na dobre kierować nawę państwową rosyjską na stare tory „samodierżawia“. Z Rasputinem musieli się liczyć tacy mężowie stanu, jak Stołypin, Witte, Sabler. Nad wszystkimi poczynaniami zaczął ciążyć duch reakcji Rasputina i w IV-ej Dumie otwarcie rozpoczęto z nim walkę. Z początku postępowcy rosyjscy rzucili mu rękawicę, a w ostatnich czasach i prawica zaczęła go gorąco zwalczać. Jak wiadomo bowiem, Rasputin na dworze silnie popierał zdanie, że dalsze prowadzenie wojny zagraża tronowi rosyjskiemu. Cesarzowa, ulegając tym wpływom, stała się zwolenniczką pokoju.



Puryszkiewicz, znany poseł, domniemany zabójca Rasputina.

Morderstwo Rasputina nie jest w żadnym związku z domniemanym romansem z księżną Jusupow, o który go posadzano, chcąc zmylić ślady. Puryszkiewicz godził w Rasputina, jako w sprawcę pokojowych tendencji na dworze.

Na Rasputina zresztą urządzano kilkakrotnie zamachy. 29 lipca 1914 roku włościanka Gusiewa też pchnęła go kładłem w brzuch. Rasputin ciężko ranny ledwie wyzdrowiał. Śledztwo w tej sprawie zatuszowano, choć opinia domagała się wiadomości. Obecnie zapewne śmierć Rasputina wywoła wśród opinii rosyjskiej wielkie zainteresowanie się sprawą, gdyż w ostatnich latach pomawiano tego cudotwórcę o wszystkie reakcyjne zakusy. Czy jednak śmierć Rasputina zbliży wojowniczo usposobioną Rosję do celu — czas pokaże.



Teatry warszawskie.

TEATR MAŁY. „*Taniec śmierci*“, dramat w 4-ach aktach Augusta Strindberga.
TEATR PRASKI. „*Żywy Posąg*“ T. Cicogni.

Śmiały w budowie i prosty w twardej konsekwentnych liniach jest „*Taniec śmierci*“, czteroaktowy dramat wielkiej miary pisarza, jakim był poeta Skandynawii, August Strindberg. Pokazał on walkę dwóch mocnych indywidualności ludzkich, mężczyzny i kobiety, których zespółito małżeństwo a dzieła charakteru. Kapitan wyrósł w trosce o chleb powszedni, szedł przebojem przez życie, jest nieugięty, twardy, podejrzliwy. Ujął sobie Alicję swoją nieustępliwością, poprowadził ją przed ołtarz, narzucając swoją rolę. Po dwudziestu latach pożycia ludzie ci nienawidzą się, złorzeczą sobie, czytają na swoją śmierć, ale gdy zjawi się chwila, że mogą uwolnić się od siebie — rozumieją, że żyć bez siebie nie mogą. Dla Alicji bowiem Kurt domniemany jej przyszły mąż, jest człowiekiem za słabym. Przyzwyczajona do walki, traci rację swojej siły, gdy Kurt posłusznie ugina się wobec jej woli. Wróci do kapitała, bo zresztą jest on nieuleczalnie chory i potrzebuje opieki. Chciała go przed chwilą zgubić, ściągnąć na imię jego niesławę, ale zrozumiała, że z Kurtem słabym, chwiejnym nie może być też szczęśliwa. Możliwe jest przytem, że nieznośną atmosferę ich domu podsyca nędza i czyni tem jaskrawszą walkę ich charakterów. Strindberg czteroaktowy swój dramat walki mężczyzny i kobiety zakończył marzeniem kapitała i Alicji, że jeszcze może w małżeństwie swoim znaleźć promień szczęścia. Bo jeden ze znajomych kapitała żenił się siedem ra-

zy, a w 90 roku życia powrócił do swojej pierwszej miłości.

Ciekawe jest, jak reagowała publiczność na Strindbergowską wwiwiskę dusz kapitała i Alicji: wybuchy gniewu, jasnowidzenia maniackiej zacieklności w śledzeniu złych i przewrotnych dróg, jakimi idą ci nienawidzący siebie ludzie, wywoływały na widowni śmiech. Czemu? Jest w tem zapewne wina reżyserii, która wyjaskrawiała i tak już twarde linie koncepcji dramatycznej „*Taniec śmierci*“. Kapitała grał p. Adwentowicz. Dał typ konsekwentny, ale niepotrzebnie też wyjaskrawiony chorobliwymi akcentami. Gdzie zaczyna się chorobliwość — kończy się sprawdzalność, a u Strindberga wszystko jest zbudowane logicznie, aż za logicznie. Alicję z zbyt dużym patosem i bez rysunku postaci grał p. Jasziński. Kurta poprawnie zagrał p. Kindler. Wystawa staranna.

Na Pradze w teatrze miejskim na benefis p. Arkawinówny wystawiono stary o kinematograficznej wartości dramat p. t. „*Żywy Posąg*“ pióra p. Cicogni. Interesowała gra benefisantki, która umiała w jasnych i prostych liniach pokazać typ nawracającej się jawnogrzesznicy. Benefisantce zgotowano owację kwiatową.

E. C.

Dzieci więźniów.

Od dwunastu lat już Towarzystwo opieki nad dziećmi więźniów służy społeczeństwu polskiemu, opiekując się dziećmi prawdziwie najniešťszeliwsiemi, bo skazanemi na nędzę i poniewierkę — nie za własne winy, chroniąc je nie tylko od nędzy materyalnej, lecz również od zarazy moralnej.

Pomimo wojny i niezmiernie trudnych warunków wyżywienia większej gromady ludzkiej, Zarząd Towarzystwa nie tylko nie zaniechał działalności, nie ograniczył jej, lecz, przeciwnie, nawet ją rozszerza. Świeżo Zarząd otworzył żłobek przy ulicy Sosnowej Nr. 13, dokąd przeniesiono dziewczęta z przytułku na Tamce, i tam teraz pozostali sami chłopcy. Obecnie Towarzystwo ma pod swoją opieką 142 dzieci: w Kaliskiem 60, pod Ciechanowem 30, w przytułku Św. Anny (Tamka Nr. 37) — 30 i w Żłobku (Sosnowa Nr. 13) — 22. Wszystkie dzieci starsze, zarówno chłopcy, jak dziewczęta, chodzą do szkół.

I w dalszym ciągu członkowie T-wa docierają do cel więziennych, od samych więźniów dowiadują się o potrzebach ich rodzin, o ich dzieciach, pozbawionych opieki, z rąk matek uwiezionych przyjmują niemowlęta, zamierające w zatrutej atmosferze więziennej...

Z powodu odcięcia komunikacji, obecnie w Zarządzie pracuje tylko 6 osób, mianowicie pp.: Jerzy Szeligowski, Teodozjusz Raczynski, Wacław Chmieleński, Tadeusz Rogoziński, Stefan Holewiński i Jadwiga Łempicka. Ta garstka ludzi dobrej woli niesie na barkach swoich cały ciężar pracy, aby jaknajwiększą liczbę dzieci otoczyć opieką, wyżywić je i wychować.

Zarząd pragnie rozszerzyć działalność swą i na prowincję i utworzyć tam filie, ale najgłówniejszą przeszkodą jest brak funduszy.

Z racji tej w sobotę, 20 b. m., Zarząd Towarzystwa urządza w Filharmonii wielki koncert-raut, o niezwykle bogatym programie, wykonanym przez najwybitniejsze siły literackie. Niewątpliwie znajdzie się na nim cała Warszawa.

Z Towarzystwa Opieki nad dziećmi więźniów.



Przytułek dla dziewcząt i żłobek dla niemowląt (Sosnowa 13).

Fot. Maryan Fuks.



Przytułek dla chłopców (Tamka 37).

Fot. M. Fuks.

Zapomniane daty.

Tak niedawno przecież jeszcze musieliśmy się podporządkowywać rozkazom kalendarza rosyjskiego, a już zagięły zupełnie ślady jego panowania.

Czy kto w Warszawie pamiętał, że na dzień 6 stycznia przypadają Święta Bożego Narodzenia starego stylu? Chyba tylko rosyjanie, którzy zostali się w Warszawie. Bo po za tem ani nikomu do głowy nie przyszło, choć to jeszcze dwa lata temu „razgulno“ obchodzono w Warszawie dzień Bożego Narodzenia „po staromu stylu“. W roku bieżącym rosyjanie też obchodzili swoje święta, ale... w cytadeli. W tej samej cytadeli, w której gnębiono pokolenia naszych bojowników za wolność i niepodległość narodu, los zamknął rosyjskich obywateli. Znajdują się oni w lazarecie wojskowym, który jest pod zarządem dra Bezebecka. Kilkuśet jeńców wojennych leczy się tu z ran otrzymanych na polach bitew. Siostry miłosierdzia z rosyjskiego Czerwonego Krzyża pełnią urzędy sanitaryuszek, kilku lekarzy-rosyjan jeńców pod kierownictwem doktora Bezebecka prowadzi lazaret. W ten sposób w cytadeli warszawskiej wytworzyło się „rosyjskie społeczeństwo“, które w dzień Bożego Narodzenia starego stylu obchodziło swoje święta.

Władze okupacyjne pozwoliły obywatelom-rosyjanom, którzy zostali w Warszawie, przyjść z pomocą jeńcom. Pod kierownictwem znanego kupca Istomina urządzono dla jeńców choinkę. Każdy żołnierz otrzymał podarunek gwiazdkowy, który wręczała im drowa Besebeckowa. Odświeżowano przytem Boże Narodzenie uroczystością. Odprawiono nabożeństwo, były śpiewy, wreszcie obywatele-rosyjanie z Warszawy dzielili się wiadomościami, mjeśli pociechę stroskanym żołnierzom. Siostry miłosierdzia, znające Warszawę, dopytywały się:

— A jak tam teraz w Warszawie?



Dr-wa Bezebeck, żona naczelnego lekarza rosyjskiego lazaretu w Cytadeli, w otoczeniu warszawskich rosyjskich kupców z p. Istominem na czele.

Fot. Maryan Fuks.

Wesoło, szeroko życie płynie? Ach, tak bym chciała raz przejechać się przez Ujazdowskie Aleje!

Tęsknoty te zapewne nie zrealizują się: złote sny pierzchły i nie powrócą. Fortuna variabilis — Deus mirabilis.

Na widowni — z tygodnia.



Hr. LANCKOROŃSKI, wielki ochmistrz dworu, został mianowany generalnym dyrektorem teatrów cesarskich w Wiedniu.

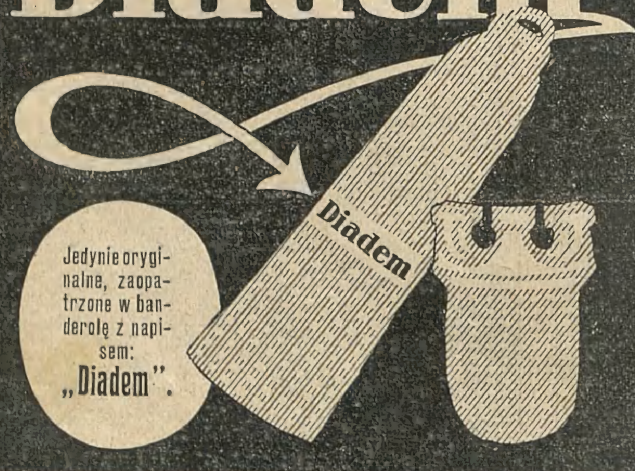


Dr. T. RUTOWSKI, prezydent miasta Lwowa, wrócił z Rosji, gdzie przebywał, jako jeniec przez 18 miesięcy.



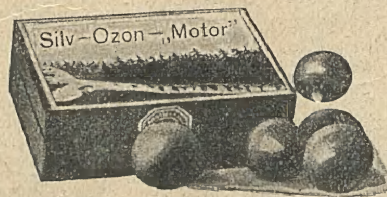
Dr. CHEŁCHOWSKI, znakomity lekarz warszawski, zmarł w 59 roku życia.

Diadem



Jedynie oryginalna, zaopatrzone w banderole z napisem: „Diadem“.

Silu — Oson — „Motor“



w płynie i w postaci stałej w kapsułkach żelatynowych do przygotowania kąpieli balsamicznych.

10200

KAZIMIERZ EHRENBURG

CZASY TERAŹNIEJSZE

Cena rubli 2.20 z przesyłką 2.50.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 20 stycznia 1917 roku.

Nr 3.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

13

Jedną z największych jego bolączek była zmora, że ten ideał, do którego dążył — medycyna — wcale go nie nęcił.

Przyrzekł matce, której — pomimo podkreślania swego demokratyzmu — imponowało widocznie wielkie stanowisko starszego syna (godziła się może w ukryciu, że manowce życia szczęścia nie dają), iż zostanie, jak starszy brat — lekarzem. A bał się tej medycyny, jak ognia. I wzdrygał się z obrzydzenia na myśl, że po czterech latach ciężkich studiów, prosektoryów i klinik, wzbudzających w nim wstręt — zostanie nareszcie na całe życie — wbrew swoim najgłębszym instynktom, wbrew swoim idealom i marzeniom — lekarzem; bez żądźbła zamilowania do obranego zawodu. Jedynie dla karyery, to jest dla tej tandety symulowanego szczęścia, polegającego wyłącznie na udawaniu przed innymi, na optykę, że się jest szczęśliwym.

Wydawało mu się to szczytem idyotyzmu poświęcać dla takiej karykatury istnienia dla reprezentacji — całutkie swoje życie aż do grobu.

— Ach! żyć zdala od więzień, jak ptak, wyłącznie, aby być szczęśliwym! Czy tak proste, zrozumiałe pragnienie jest faktycznie zakostwem? — tłumaczył w myślach te bunt młodości, które coraz głośniej w nim teraz huczały.

Aż uszy zatykał, aby brat przyrodni nie mógł tryumfować, że, odrzuciwszy jego pomoc i rady, sam, bez opieki, „zmarował się“.

A tem ukrywaniem, żakowskim marzeniem jego było: Wyzbyć się próżności, skwitować z karyery na pokaz, z zajęcia poczesnego stanowiska, na które ludzie wdrapują się, spychając z niego drugich, oskarżanych podstępnie o niudolność. Bo to oni, jedynie, ci lepsi, niby od innych, użyteczniejsi, pracowitsi, (a w gruncie karyerowicze, tacy sami, jak zepchnięci poprzednicy, lub spychający ich kiedyś następcy) — mają sprowadzić „świat, który wyszedł z formy — do normy!“

— Ach! móżdż żyć jedynie dla szczęścia z ukochaną, zdala od lili-puciej walki ze złością ludzką, wśród kwiatów, w słońcu, jak żyją motyle!

Ten młodzieńczy idyotyzm wydawał mu się stokroć mędrszym od dążenia do karyery w apartamencie „ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami“, w którym najędrsi ludzie tak strasznie głupio życie sobie urządzili.

Kochał kiedyś muzykę, która ongi na galeryi, zakupionej za ostatnie grosze, do łez go wzruszała. Po za starami operami, przepadał za symfoniami Beethovena i Mozarta, za Wagnerowskim Trystanem, Parciwalem i Zygfydem. Po za teatrem wsłuchiwał się — oczarowany — całemi wieczorami w Dolinie Szwajcarskiej i w Filharmonii.

Udało mu się poznać swego sąsiada z czwartaka, drugiego skrzypka z orkiestry. I wnet dziecięcy czar prysnął. Wsluchany w ciężką, zmu-dną pracę techniczną tych wszystkich czarów, które lży z oczu mu wyciskały, powtarzanych całemi godzi-

nami, jak pańszczyznę bez zamilowania — przekonał się, że sztuka jest takim samym rzemiosłem, jak inne; że ma za jedyny cel odznaczenie się, jak w biurze, wzbudzenie podziwu, prześcignięcie w hierarchii innych kolegów. Ów jedyny szlachetny ideał sławy — wydał mu się naraz także dążeniem do coraz większych honoraryów, które wkońcu prowadzą do apartamentu „ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami“, tak bezmyślnie wytworzonymi przez fałszywą i obłudną cywilizację, gwałcącą dla pozorów przyrodzone prawa szczęścia.

Zapałił się następnie do malarstwa, do którego poczuł w sobie pewne zdolności. I rozkoszował się w Łazienkach, do których wyrывał się rankiem przed korepetycyami.

Z paletą, rajsbretem i farbami sadowił się w wybranych zakątkach nad wodą. Zdala wśród cudnych grup starodrzewia — przeświecały gazony, błyszczące w słońcu szmaragdową trawą; a tam, hen, rysował się cały ze słoniowej kości pałacyk z tyśiącą i jednej nocy, odbijający się fantastycznie w lustrzanych kryształach wody... I ta cisza dokoła... Harmonia jej wydawała mu się nie mniej piękna, niż w symfoniach Beethovena. Ręce ze wzruszenia mu drżały, oczy zachodziły łzami szczęścia.

Dokoła swiergotało ptactwo. Słońce świeciło. Kwiaty pachniały. Ciepły wiaterek laskotał mu skronie. I z piersi Romka wylatywała w dal dziękczynna modlitwa:

— Boże! Dzięki Ci za wszystko; świat jest piękny! Dobrze jest żyć!

Zaniechał — nauczony doświadczeniem — dalszego uczęszczania do szkoły rysunkowej. Nie chciał zostać sławnym, dobrze opłacanym, zawodowym rzemieślnikiem-techni-

kiem, malującym podług metod i gustów, przynoszących sławę i majątek.

Nie chciał dążyć do medali i odznaczeń, wzbudzających podziw i zawzięć.

Ze swoją manią szczęścia, chciał jedynie modlić się, malując, i płakać z radości, że żyje; z przeświadczeniem, że tylko błędzący dyletant może być szczerym artystą.

I ta wieczna jego mania wyzwolenia się z jarzma wszystkich konwencyonalnych kłamstw, to przewartościowywanie wszystkich wartości, te jego chwile zadumy, walka bolesnych handr z cudnymi rojeniami — stanowiły jedyną treść jego życia wewnętrznego. Reszta była już tylko kłamstwem i szablonem.

Z podobną tragedią duszy trudno jest być lekkim amantem, całym z jednej sztuki; nawet kiedy słońce świeci, kiedy ma się aksamitne oczy i jest się młodym przystojnym chłopcem, dążącym na wakacyjne kondycje, które udało się za pomocą kuryerka szczęśliwie wynaleźć.

Lecz krawiec zdecydował się na kredę przenicować mu letnie ubranie; szewc za bezcen podzelał mu stare buty. I kiedy Romek wsiadł już wreszcie do jednokonki, wiozącej go ku dworcowi kolei na wielkie wakacje — mogły już błyszczeć mu w uśmiechu jego białe zęby, aksamitne oczy i rumieńce na twarzy, które taką zawieść budzą w starych, spopieliałych przechodniach na widok wiosny i młodości!

I kiedy stanął w otwartym oknie wagonu, aż ryczeć ze szczęścia mu się chciało:

Ożywczy wiatr z rozlegających się na dziesiątki mil szafirowych łąk, woniejących łąk z pasacem; się stadami — owionął go swoim tchnieniem.

Te cudne w kombinacjach barw chaty, przewijające się kinematograficznie ze swymi żórawiami, stertami, stogami, z lniano-włosemi bachorami — wielkie bogi! — cóż za rozkosz!

I kiedy zasiadł już w bryczce, która go na stacyi oczekiwała, w półmroku księżycy i ukazujących się już gdzieś gwiazd, obmyty czystym wiatrem — miał ochotę rzucać pocałunki tym kapliczkom, na pół rozwalonym, tak cudnym w tej fantastycznej półciemni; tym wydłużającym się krzyżom przydrożnym, kościółkom, tym bōklinowskim dróżkom, wijącym się węzłem ku czarnej zaciśzy gaików...

I pierś z zachwyty rozsadzały mu te owione już mrokiem stawy opleśniałe, to niebo, ogwieżdżone, olbrzymie, bez końca i te zapachy

balsamiczne; wszystko z tysiąca i jednej nocy!

I pod wpływem tych cudnych uroków — ani poczuł, jak zanikł w nim cały miejski cynizm donżuanika czwartaków. Zamarł w nim naraz, jakby za poruszeniem różdżki czarodziejskiej, cały sceptycyzm in spe medyka, który dla obycia się z przysługą swoim zawodem, przypatrywał się naukowemu najsekretniejszym doświadczeniom na chorych w klinikach i na trupach w sekcjach. Zagasło w nim całe uświadomienie, nabyte krótkim przebywaniem w szkole rysunkowej, w której najintymniejsze „akty“ zdrowych modelek — były chlebem codziennym.

To wszystko ku udręce drapiących się po głowie szatanów — zakryła w nim młodość, która poczęła śpiewać w jego duszy jakiś hymn cudnego odrodzenia.

Jakaś pieśń pazika pchała go ku nieznanemu, czystej, cudnej królownie z mgieł i obłoków. Jakieś allegro symfonii aniołów, całe ze szmerów wiatru, śpiewu ptactwa, szelestu strumyków — kusilo śpiącego od wieków królewicza, który jakby dopiero dziś ożył.

Jakaś ostatnia nuta ziemską zakiełkowała w nim wspomnieniem zeszłorocznych wakacji: W wiejskich dworach licho zawsze ześle jakąś pokusę w formie domowej nauczycielki, gospodyni, lub nienasyconej

wrażen jakiejs prowincjonalnej lwiicy, rozwódki lub separatki!

Wstrząsnął się z obrzydzenia. Nie! Za nic w świecie. Uśpi ciało w wakacyjnym letargu. Chce żyć jedynie, jak uśpiony królewicz: snami marzeń, uctą duszy, gwiazdami, ciszą, zapachem kwiatów, śpiewem ptactwa i szmerami drzew i wody...

I w tym nieopuszczającym go już dziś stanie młodzieńczej ekstazy, upojony — z niewytrzymałością mięszczucha — powietrzem wiejskim, jak wódką — zajechał przed stary pałac Jędrzejewicki.

Zaledwie przywitał się w podróżnej ekscytacji z ciotką i — przedstawiony towarzystwu — zasiadł do kolacji — oczy jego piorunem na jedną sekundę padły na łodyżkową postać Zosi. Na świetlaną, nikłą sylwetę płowowłosej panienki o alabastrowej twarzy, o zielonych podłużnych oczach, z nieprawdziwego zdarzenia, z niebieskimi żyłkami u skroni...

Do końca wieczoru — nie ośmielił się już więcej podnieść wzroku na to zjawisko.

Napełniło ono jednak upojonego podróżnika jakąś gorączkową werwą, którą jedynie — jej zawdzięczał.

Dla niej to wyłącznie jaśniał bezwątpienia tym humorem młodzieńczym, którym zjednał sobie od razu całe Jędrzejewice.

Dalszy ciąg nastąpi.

BOLESŁAW ZYGM. LUBICZ.

Nowela.

OKOPY KOCMYŻOWSKIE.

3

Wnorowski i Pluta nie lubili się wzajemnie i to oddawna. Sierżant nie mógł przebaczyć podporucznikowi tych jego przebiegów nieopanowanej brutalności, przed którą musiał się bronić i których ofiarą padali inni. Całym swym zachowaniem się wymuszał na swym zwierzchniku stosunek oparty na szacunku do siebie, musiał jednak stać na straży swojej godności. Męczyło to niezmiennie ich obu: i jeden i drugi zmuszeni byli do nieustannego liczenia się ze słowami, z gestem najmniejszym. Wnorowski wiedział, że nie jest w stanie ubliżyć temu podkomendnemu bez zarzutu i ta moralna zależność doprowadzała do wybuchów. Sobaczył. Sobaczył jednak wszystkim, prócz Pluty. Gdy przebrał miare, czytał wyrzut i naganę w oczach sierżanta. A że pomimo wszystko był sprawiedliwy i widział wysokie walory żołnierskie Pluty, wyszczególniał go często w swych raportach i parokrotnie przedstawił do awansu. Każdy awans był dla Pluty policzkiem. Wiedział o tem Wnorowski i cieszył się. To była jego jedyna zemsta.

Podczas bitwy stanowczą przewagę nad Wnorowskim miał sierżant. Obaj byli odważni, obaj posiadli pewne tajniki wiedzy wojskowej. — Wnorowskiemu jednak brak było spokojnej rozważliwości, rzutami, wysileniem nerwów, miewał świetne chwile jasnowidzeń w bitwy i ekstazy, która jak płomień udzielała się żołnierzom, — ale i chwile upadku, niemal zupełnego wyczerpania siły nerwowej. W takich chwilach podtrzymywał go, dodawał mu otuchy, osłaniał i prostował jego błędy swymi radami — a nawet, niejednokrotnie, samodzielnie zarządzeniami Pluta. Wnorowski przyjmował tę pomoc, ale dającego mu ją nie nawidził...

Zwolna jednak gromadziły się rozbitki. Była to zbieranina z różnych plutonów, kompanii, batalionów nawet. Garść maruderów, z których należało uformować linię bojową. Celował w tem Pluta.

— A! Duda! — ucieszył się Wnorowski, widząc żołnierza ze swego plutonu, obywatela w rozpiętym mundurze, kapiącego potem, zziadanego, jak niebo-

skie stworzenie, niemniej z wyrazem rycerskiej fantazji na licu: był, bił i nie zginął i jeszcze raz pójdzie, jeśli rozkaz dostanie, by pomstę na tych „cholernikach“ wyrzucić. A może i karabin maszynowy poszczęści mu się „zafasować“!

— Gdzie jest Mucha?

— Zabity! obywatelu komendancie.

W głosie Dudy czuć było pewną małą domieszkę rozradowania.

— A Chociel?

— Zabity. Kula w brzuch, ob. komendancie...

Znów to samo wrażenie. Wnorowski przestał pytać. Stał milczący. Twarz jego stawała się coraz bardziej ponura. Gdy niespodzianie zjawił się Orlik z ręką na temblaku i obandażowaną twarzą, omal że nie dezertował ze szpitala polowego I-szej brygady, gdzie nie mógł wyleżeć, słysząc odgłosy bitwy — nie wyraził najmniejszego zdziwienia. Ponieważ Orlik po drodze zgromadził garść morderców, o czym zaraportował posłusznie, kazał mu aż do otrzymania nowych rozporządzeń objąć komendę nad nimi i „dostukować na prawem skrzydło“. Przeciwno formującemu się oddziałowi z pobliskiego lasu wysuwała się gęsta tyralierka rosyjska. Mogły tam być dwie kompanie. Wnorowski sztykował się do odparcia ich ataku kontratakami swego skombinowanego oddziału.

Miał już wydać rozkaz, gdy dano mu znać o nadbiegającym ordonansie. Należało zaczekać na jego przybycie. Wnorowski wydał rozkaz „padnij!“ — i jednocześnie skinął na Plutę.

— Rozkaz, komendancie! Pluta podszedł i zatrzymał się o trzy kroki od podporucznika.

— Zbliźcie się! — Pluta się zbliżył.

— Jak sądzicie, Pluta? Wyjdziemy z tej kaszy?

— Z honorem — zapewne. Z życiem... wątpliwe! Jeśli nie przyjdzie jakaś większa pomoc, będziemy „ich“ mieli nie tylko z boku, ale i z tyłu. Lada chwila wieś może wpaść w ich ręce. Tam na lewem... musiało się stać coś niewyraznego.

— Słuchajcie Pluta. Chcę wam coś rzec na pół tylko oficjalnie: Nie podobają mi się ton, który wy przybieracie w stosunku do mnie... I nie tylko to... Ale — mniejsza! Kto wie, czy wyjdziemy z dzisiejszej afery. Mam jakieś przeczucie. Pomiędzy nami... no, sami wiecie! Może tam i mojej w tem nieco winy... Słowem... dajmy sobie ręce! Chcecie?...

Pluta stał sztywny. Przez twarz przebiegało mu tylko nerwowe drganie. Wnorowskiego oblał pąs.

— Ob. sierżancie, słyszeliście?

— Ob. komendancie, czy to był rozkaz?

— Nie... Apel...

— Obywatelu komendancie, w takim razie melduję, że uważam, iż to jest zbyt... Wiedzą dobrze, co w was cenię, a co... ganię. I tego mego stosunku do was zachwiać żadna zainscenizowana nawet na polu bitwy scena pojednania nie jest w stanie.

— A cóż we mnie „ganiecie“? — zapytał Wnorowski. Słowo „ganiecie“ wymówił z naciskiem.

— Uważam za zbyt... to mówić tu, chyba, że otrzymam rozkaz.

— A więc rozkazuje.

— A więc, dobrze! Chamstwo!

Pluta salutował, zrobił w tył zwrot i poszedł. Nadbiegał ordonans. Gdy szedł, dogonił go jeszcze okrzyk Wnorowskiego:

— Staniecie do raportu!

— Rozkaz!... — Pluta zrobił w tył zwrot, zsalutował, znowu zrobił w tył zwrot i poszedł, jako „szarża skrzydłowa“ na lewe skrzydło. Gdy szedł, wydało mu się, że dogania go okrzyk „Bydło“. Ściągnął brew, lecz udał, że nie słyszy. Ucieszył się serdecznie, w pierwszym leżącym z brzegu żołnierzowi poznając Dudę — — —

Ordonans przyniósł rozkaz sztabu podjęcia niezwłocznego ataku czołowego. Na lewe, opuszczone skrzydło miał być rzucony cały trzeci pułk t. zw. brygady Piłsudskiego, pułk, który stał dotąd w rezerwie. Uzupełnienia i wydatniejsza pomoc austriacka miały nadejść każdej chwili. Tymczasem rozpaczliwymi atakami należało powstrzymać nieprzyjaciela.

Przywitały ich wkrótce szrapnele rosyjskie. Gdy okopywali się, macały ich skuteczne strzały armatnie. Gdy podnosili się i biegli, zrywała się ulewa kul karabinowych. Zdobywali przestrzeń, okupując krwią każdy swój krok. Składali ofiarnie, z lekkim sercem daninę przyszłemu zwycięstwu. Były bliżej pozycyi! Były na bagnety! Gdy Orlika zwałł z nóg odłamek granatu, leżąc i przykrywając ręką świeżą ranę piersi, krzyczał szczęśliwszym kolegom:

— Naprzód, chłopcy! Rażno! Brygadyer na nas patrzy! Odnalazł dziś w tym słonecznym ataku swoją formułę życia i... śmierci.

Wnorowski dawał przykład nieskazitelnego męstwa. W zapale wyprzedził tyralierkę i szedł przed nią, oglądając się na żołnierzy, lub lyskotliwą klingą szabli wskazując dyrekcyę. Klinga wydawała się złotą. Rzekłbyś pojedynek ze słońcem odbywał Wnorowski; zręcznymi cięciami odbijał promienie słoneczne, aż się sypały iskry. Całe pole zresztą pławiło się w słońcu. Wreszcie — gdy się zbliżyli dostatecznie — padł rozkaz: — „Bagnet na broń!“ Leżąc, z bijącymi sercami, czekali teraz żołnierze innego rozkazu. Wtem Wnorowski wstał, błysnął szabłą i pobiegł. Zerwali się i stali się żertwą ulewy kul morderczej. Po przez zawieruchę tych kul biegli, gnam zapalem, zdeterminowani, waleczni. Wnorowski biegł pierwszy; w pewnej chwili uczuł ciepłą strugę krwi, spływającą mu z twarzy i szyi. W następnej uczuł cios w głowę. Pociemniało mu w oczach. Zatrzymał się i słyszał jeszcze tenient przebiegających koło niego ludzi. Nie widział ich. Chciał tym biegnącym coś rzec — słowo jakieś — rozkaz ostatni — i nie mógł. Siadł wówczas na ziemi i zakrył oczy rękami...

Do okopu pierwszy przyleciał Duda. Kule podziurawiły mu płaszcz, a nawet czapkę, zjeżyły mu włosy na głowie, a nawet połaskotały skórę, poifarbowały ucho, lecz on biegł wciąż naprzód, aż

wreszcie przesadził, sapiąc, nasyp i znalazł się w rosyjskim rowie strzeleckim. Na widok jego, kilku rosyjskich żołnierzy rzuciło karabiny i jęło uciekać. Nie gonili ich, ani nie strzelał. Był zdezyorientowany. Otrzymał rozkaz zdobycia okopu rosyjskiego — i zdobył! Ale co dalej ma czynić, nikt mu nie powiedział — on sam zaś nie wiedział. Nigdy jeszcze nie był w takiej sytuacji. Pierwszy raz udało mu się zdobyć okop nieprzyjacielski. W najbliższym sąsiedztwie, o jakie 15—20 kroków od niego, z jednej i drugiej strony stali żołnierze rosyjscy i nieustannie „pukali“ z karabinów. Obejrzał się i ujrzał w najbliższym sąsiedztwie pozycyi ciała zabitych i rannych, oraz przeredzoną, rozbitą, zdemoralizowaną, cofającą się w bezładzie linię tyralierów polskich — cudowny, niezawodny cel dla rosyjskich żołdatów. Żołnierze cofali się, zbijając się kupkami, wbrew kardynalnym prawidłom taktyki.

— Dystans! Dystans! Padnij!!

Krzyczał im Duda, ale nie mogli go dosłyszeć. Usłyszał go natomiast jeden z żołnierzy-rosjan:

— Ty czego drzesz się? — zbliżył się do Dudy, lecz raptem poznał uniform i przestraszył się.

Jednym skokiem Duda znalazł się koło niego.

— Złóż broń — rzekł twardo.

Soldat wahał się moment, lecz potem broń rzucił.

Duda podniósł karabin.

— Tyś mój jeniec — powiedział.

Następnie podbiegł do sąsiada swego z innej strony i grożąc mu aż dwoma karabinami, zaproponował układ poprzedni. Po małych przetargach i ten żołnierz się zgodził.

— Nic ci nie zrobię. Nie bój się. Pamiętaj tylko, żeś mój jeniec! — uspokajał zwyciężonego.

Tymczasem pierwszy z wziętych do niewoli zaalarmował sąsiadów. Ci powy-skakiwali z okopu i zbliżali się do Dudy.

— Zdajsia — krzyczeli mu zdaleka.

— Zdajtęś — odpowiedział im Duda, a potem odwrócił się szybko i krzyknął kolegom, jak mógł najgłośniej:

— Dystans... przebiegać i padać! Rażno!

Wówczas rosyjanie rzucili się na niego. Zdażył raz wystrzelić i odbić parę pierwszych pełnięć bagnietem.

Gdy go kluli, krzyczał jeszcze:

— Dystans... Cofać się w porządku... Niech żyje Polska!

Zastępował nieobecnego oficera.

Dokończenie nastąpi.



Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

3

SCENA 8.

CIŻ — PANI DZIDZIA.

PANI DZIDZIA (*ruchy leniwe i powolne, mówi równie powoli i bez uśmiechu*). Może się spóźniłam?... (*wita się z panią Ewą, potem z innymi*). Biegłam bardzo szybko. Byłam u Loli na śniadaniu... potem graliśmy w bridge'a. Było okropnie wesoło... Jestem tak rozbawiona, nie uwierzy pani...

EWA. Pani Lola także miała przyjść.

DZIDZIA. Przywiezie ją Leński. Zaraz powinna tu być...

EWA (*prowadzi ją do Krystyny, która opodal rozmawia z Augustem*). Pani pozwoli... (*przedstawia panie*).

PREZES (*przywitawszy się, wraz z Hamelbeinem, z panią Dzięcią, bierze Adama pod ramię i prowadzi na przód sceny*). Drogi panie... byłem tak zalterowany, że zapomniałem na razie... Mam do pana wielką prośbę.

ADAM (*objął go nieufnem spojrzeniem, jakby obawiając się, że go to może drogo kosztować*). Proszę pana, słucham...

PREZES. Tylko to zostanie między nami... Dobrze?

ADAM (*uśmiecha się, palec przykłada do ust*). Jak ten mur!

PREZES (*z godnością*). Dziękuję panu. Otóż... ja właśnie interesuję się pewną młodą osobą, która posiada niepospolite zdolności artystyczne... Nie potrzebuję dodawać, że interesuję się całkiem... bezinteresownie.

ADAM (*śmieje się niedowierzająco*). Mimo pomimo?

PREZES (*stropiony*). Jak pan to rozumie?

ADAM (*klepnął go poufale po brzuchu*). Niech prezes się nie wstydzi. Jesteśmy między dżentelmenami.

PREZES (*wytrącony cokolwiek z równowagi*). Więc ta młoda osoba... posiadając wielki talent... nie ma sposobności ujawnienia go wobec szerszej publiczności... Nasz wieczór dobroczynny byłby doskonałą okazją...

ADAM (*wymowny ruch nogą*). Czy ona... tego?

PREZES. Ona nigdy nie była w balecie... Ona pragnie uprawiać taniec, jako sztukę poważną, wysoce artystyczną. Pan wie, taniec był

niegdyś holdem, który składano bogom.

ADAM (*zrozumiał*). I ona też chce się modlić nogami (*gest*).

PREZES (*skarcił surowem spojrzeniem niestosowność tego dowcipu*). Czy pan nie chciałby zaproponować... gdy mowa będzie o programie... żeby i tę młodą osobę zaprosić do udziału? Byłaby to prawdziwa rewelacja... w najlepszym smaku...

ADAM. Dlaczego prezes sam nie powie?

PREZES. Mnie nie wypada. Zaraz jakieś przypuszczenia, podejrzenia. Pan proponuje, a ja poprę.

ADAM. Jak ona się nazywa?

PREZES. Panna Antonina Materas.

ADAM (*śmieje się głośno*). Materac? To sobie prezes wybrał Materaca!

PREZES (*urazony*). Proszę pana, nie żaden Materac, ale (*z naciskiem*) Materas. Materasowie są bardzo starą rodziną mieszczańską. Zajmowali kiedyś w kupiectwie warszawskim nader poważne stanowisko. Potem podupadli. Ojciec panny Materasówny prowadzi w dzielnicy powązkowskiej skromną garkuchnię (*zmiana tonu*). Czy mogę liczyć na pana.

ADAM. Niech mnie to kosztuje! (*uderzył prezesa kulakiem lekko w bok*). Z prezesa to także wyrafinowany szelmutek!

PREZES (*urazony*). Łaskawy panie!...

ADAM (*nie zważa na to*). Żeby tylko nie zapomniał, jak ona się nazywa. Antonina Materac...

PREZES (*poprawia, z naciskiem*). Materas!

(*Drzwiami w głębi wchodzi Leński i pani Lola*).

SCENA 9.

CIŻ — LEŃSKI — PANI LOLA.

LEŃSKI (*odznacza się wielką swobodą ruchów i dezynwolturą mowy. Bardzo pewny siebie*). W drzwiach, wesoło). Jesteśmy!

EWA. Nareszcie! (*idzie witać się*).

LEŃSKI (*gdy Ewa wita się z panią Lolą*). Chce pani rzucić się w moje objęcia?

EWA (*śmiejąc się, podaje mu rękę, którą on całuje*). Gdy zostaniemy sami... (*do Loli*). Przychodzi pani tak późno!

LOLA. Dlaczego państwo czekali? Ja i tak tylko na chwilę. O szóstej mam odczyt, potem obiad u rodziców, potem koncert i wielkie przyjęcie u Meergoldów...

EWA. I my będziemy...

LEŃSKI (*do Loli*). Przyznam się pani, że jak na jeden wieczór, menu mało urozmaicone... (*do Ewy, wskazując wzrokiem Krystynę*). Kto jest ta pani?

EWA (*z lekką dumą*). Pan nie zna? Krystyna Chomicka, moja koleżanka i przyjaciółka.

LEŃSKI. Ależ ja ją znam! W pierwszej chwili nie poznałem (*zbliża się do Krystyny*). Czy pani sobie mnie przypomina? Kiedyś miałem zaszczyt... Z mężem wczoraj odnowiliśmy znajomość w klubie.

KRYSTYNA (*wyciąga doń rękę*). Naturalnie, że pamiętam.

LEŃSKI (*usiadł koło niej na przodzie sceny, reszta towarzyszy w głębi*). Była pani wówczas młodzieńką panienką. Pierwsze kroki w świecie... (*objął ją spojrzeniem znawcy*). Małżeństwo pani nie zaszkodziło... Czy tam na Wołyniu wszystkie panie takie ładne?

KRYSTYNA (*śmieje się*). Wszystkie.

LEŃSKI. Jutro jadę na Wołyn. Zyskam jeszcze, że nie będę patrzył na to stare pudło! (*Wzrokiem wskazuje hrabinę, która piskliwie przekomarza się z Koskiewiczem*) (*do Ewy, która się do nich zbliżyła*). Po co pani zaprasza tę babę? (*postrzegł Borskiego, który kręci się śladami Ewy*). A, i Cynamon! (*wita Borskiego poufale ruchem ręki*).

EWA (*dotknięta*). Dlaczego pan nazywa pana Borskiego cynamonem?

LEŃSKI. Jest słodki i przyjemnie pachnie... (*spojrzał znów w stronę hrabiny*). Nie, gdyby nie ta piękna wołynianka, jużby mię tu nie było.

EWA (*nieco złośliwie*). Kiedyś podobno pan bardzo lubił towarzystwo hrabiny.

LEŃSKI. Bardzo dawno. I właśnie dlatego nie znoszę jej teraz. Przypomina mi minioną młodość. Nessum maggior dolore!... (*do Krystyny, wzrokiem znów wskazując hrabinę*). Czy pani uwierzy, że ja istotnie kochałem się w tej babie. Była wtedy młoda i ponętna. Gdy teraz na nią spojrzę, kłuje mię zaraz myśl: — Może i ty, chłopczyku, zestarzałeś się tak samo! I może — gdy zalecasz się do młodych kobiet, wyglądasz równie śmiesznie, jak ona ze swoim cynamonem i korniszonem (*koło hrabiny teraz Borski i Koskiewicz*).

KRYSTYNA. Korniszon, to ten błąd młodzienczek?

LEŃSKI. Czy nie wygląda, jak gdyby świeżo go wyjęto ze słoika? (*Hrabina postrzegła, że o niej mówi, i idzie do nich*). Boże! Idzie tutaj... (*wstaje, chcąc odejść*).

HRABINA (*zatrzymała go, do Krystyny*). Pewno mię obgaduje. Widzisz, moja droga, złe wino, starzejąc się, zamienia się w ocet.

LEŃSKI (*skłania przed nią głowę*). Panj jest uosobieniem słodyczy.

EWA (*zbliża się do nich*). Proszę państwa na herbatę... (*wskazuje drzwi do salonu*). Potem wrócimy tutaj na naradę...

ADAM (*zaprasza inne osoby*). Proszę państwa...

(*Goście przechodzą do salonu. Leński zatrzymuje Krystynę i Ewę*).

LEŃSKI (*tonem prośby, do Ewy*). Pani da nam herbatę tutaj! (*do Krystyny, która wstała i chce iść do salonu*). Niech panj zostanie. Opowiem pani historię mojego życia.

EWA (*z zalotną przekorą*). Czy równie interesująca, jak długa?

LEŃSKI. Niech no pani da łapkę (*bierze rękę Ewy i całuje*). Już i to małenstwo mi dokucza. A wszystko za tego Cynamona. Już nigdy nie będę.

EWA (*z uśmiechem*). Niech pan pamięta? Zaraz wam przyniosę herbatę (*idzie do salonu*).

SCENA 10.

KRYSTYNA — LEŃSKI — potem EWA.

LEŃSKI (*przypatruje się Krystynie z nieklamany zachwytem*). Ale pani się pięknie rozwinęła! Z takiego pączuszka (*skrzywił się, jak gdyby nagle coś go zabolalo*). Psia-kość!

KRYSTYNA. Co panu się stało?

LEŃSKI. Zabolalo mię... te dziecię lat za dużo. Nigdy ich nie czułem w tym stopniu, co w tej chwili.

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). Reumatyzm? Artretyzm?

LEŃSKI (*pół seryo, pół persiflaż, — w ciągu całej tej sceny*). Pani Krystyna Chomicka.

KRYSTYNA (*j. w.*). Z tego pan łatwo się wyleczy.

LEŃSKI. Żebym ja miał o dziecię lat mniej!

KRYSTYNA. Cóżby pan zrobił?

LEŃSKI. Rozkochałbym panią i uwiódł. Bez litości. Daremnie błagałaby pani o zmiłowanie.

KRYSTYNA (*z figlarnem uczuciem ulgi*). Chwała Bogu, że wiek uczynił pana miłoścowszym.

LEŃSKI. Cnota z musu. Żadna zasługa! Gdyby panj wiedziała, co to za męka widzieć przed sobą taką wiosnę (*skłonił przed nią głowę*), a samemu czuć się w jesieni życia, w uszach mieć ciągły, nieustanny szelest liści, które z drzew lecą, lecą... Nie dla ciebie pachnące bzy i jaśminy, miodowa woń ziół i kwiatów, rozgrzanych w złotem słońcu! Przed tobą nagie szkielety drzew, z których resztkę zeschłych liści lecą... lecą...

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). Pan jest poeta.

LEŃSKI. Zawsze, gdy się Kocham.

KRYSTYNA (*śmieje się*). Jakto, już się pan we mnie kocha?

LEŃSKI. Już. Piorun trzasnął, stara rudera zapaliła się (*z zainteresowaniem*). Panj tego nie potrafi?

KRYSTYNA (*śmieje się*). Nie.

LEŃSKI. Ja panią nauczę. Chce pani?

KRYSTYNA. Zdaje się, że od pana mogłabym się wiele nauczyć.

LEŃSKI. Niech chociaż inni korzystają z doświadczeń, zdobytych w długiej praktyce życiowej. Proszę o rękę (*Krystyna, nie wiedząc, o co mu chodzi, podaje rękę, on całuje*).

KRYSTYNA (*wysuwa rękę, z uśmiechem*). Pan jest zwolennikiem metody pogładowej!...

LEŃSKI. Teoria jest szara, wiecznie żywem — zielone drzewo życia.

KRYSTYNA (*objęła go życliwym wzrokiem*). Nic się pan nie zmienił. Taki sam był pan dziesięć lat temu.

LEŃSKI. Naprawdę?

KRYSTYNA. Pamięta pan, raz jeden siedziałam przy panu podczas jakiegoś obiadu. Byłam tak przerażona! Pan coś mówił do mnie, mama dawała panu znaki, żeby pan był przyzwoity, a ja nie umiałam zdobyć się na odpowiedź. Wiedziałam już wtedy, że pan miał opinię bardzo niebezpiecznego uwodziciela.

LEŃSKI. Wyrobiło mi ją kilka mniej skrupulatnych dam, których natarczywością nie umiałem się obronić.

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). Biedaczek! Dziś pan już lepiej potrafi?

LEŃSKI. Wiek uczynił mnie odporniejszym. Ale pani — uległbym.

KRYSTYNA (*śmieje się*). Nigdy nie uwierzę.

LEŃSKI. Moja cnota wisi na włosku. Mały kaprys ze strony pani...

KRYSTYNA (*w uśmiechu łagodzie słowa, które wypowiada*). Panie, niech się pan uspokoi. Ten włoszek

będzie miał wytrzymałość grubej liny okrętowej.

(*Wchodzi Ewa, za nią lokaj niesie tacę z herbatą i ciastem*).

EWA. Macie państwo herbatę (*służący podaje*). Ale zaraz skończy się to sam na sam, bo rozpoczynamy posiedzenie.

LEŃSKI. Dla moralnie zachwianych dziewcząt, którym panie pomagają oplakiwać popełnione błędy?

EWA. Wiaśnie. Pan ma ich dużo na sumieniu?

LEŃSKI. Ani jednej. Kobiety, które były ze mną szczęśliwe, nie żalowały tego nigdy.

KRYSTYNA. Co on wygaduje, moja droga! Słuchać trudno. Ja nie nawykłam do waszego tonu.

EWA (*do Leńskiego*). Proszę nie gorszyć mojej wołynianki.

LEŃSKI (*do Ewy*). Niech no pani siada.

EWA. Nie mogę. Muszę iść tam (*wskazuje na drzwi salonu*).

LEŃSKI. Poczekają. Niech pani siada (*sadza ją obok Krystyny*). Teraz ja oto klękam przed panią (*klęka*) i błagam: niech panj powie, co ja mam zrobić, żeby się tej kobiecie podobać (*spojrzenie w stronę Krystyny*).

EWA (*dotknięta*). E, mój panie, ja nie nadaję się na pośredniczkę (*lekko zadyszana, chce wstać; Leński zatrzymuje ją*).

LEŃSKI (*do Ewy*). Jakie pani ma śliczne nogi!

EWA (*z minką*). Nie powiedział mi pan nic nowego.

(*Bierze bez ceremonii jedną jej nogę w rękę i mimo oporu, odgarnia stopę i kostkę z pod spódnicy*).

EWA. Panie! Co pan robi!

LEŃSKI. Pierwsza klasa! (*w drzwiach od salonu pojawia się Adam*).

SCENA 11.

CIŻ — ADAM.

ADAM (*przygląda się zdziwiony i jeszcze bardziej niezadowolony*). Co to jest? Co pan robi?

LEŃSKI (*wstaje, i nie tracąc tempu*). Pańska żona ma prześliczne nogi.

ADAM (*j. w.*). Proszę pana, ja nie potrzebuję dowiadywać się o tem od pana... (*sucho*). Ewa, tam (*gest w stronę salonu*) wszyscy szukają za tobą. Trzeba już raz zacząć to posiedzenie!

(*Ewa idzie do salonu, Adam, zgromiwszy raz jeszcze wzrokiem Leńskiego, idzie za nią*).

Dalszy ciąg nastąpi.



W oczach Zachodu.

3

POWIEŚĆ.

Razumow dziwił się sam sobie, czemu nie przerywał dotąd tej gadaniny i nie powiedział wręcz temu człowiekowi, żeby sobie poszedł. Było to słabością z jego strony, czy jak to nazwać?

Doszedł do przekonania, że był to zdrowy, samozachowawczy instynkt. Haldina musiano widzieć. Niepodobieństwem było, żeby ktoś w tłumie nie zauważył człowieka, który rzucił bombę, a Haldin miał powierzchowność zwracającą uwagę. Policja musi już posiadać jego rysopis. Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Jeżeli zacznie teraz włóczyć się znów po ulicach, to go w końcu schwycą.

Policja wprędce dowie się wszystkiego o nim. Kto tylko miał z nim kiedykolwiek do czynienia, będzie podejrzanym. Jakieś niebaczne słowo, jakieś same w sobie niewinne drobiazgi poczytane będą za zbrodnie. Razumow przypominał sobie pewne rzeczy, które sam mówił, i inne, których słuchał na zebraniach studenckich. Od tych zebrań nie można się było uchylać; koledzy patrzyliby krzywym okiem na takiego studenta.

Razumow widział się już zamkniętym w fortecy, zesłanym administracyjnym porządkiem, pozbawionym wszelkiej nadziei i przyszłości. Widział się — w najlepszym razie — pędzącym nędzną egzystencję, pod dozorem policji, w jakiejś lichej mieścinie, zapomniany przez wszystkich, bez żadnej pomocy. Inni mieli rodziców, braci, krewnych, stosunkę — on nie miał nikogo. Ci sami sędziowie, którzy go skarżą rano, zapomną o jego istnieniu, nim słońce zajdzie.

Widział, jak młodość jego marnieje w nędzy i zapomnieniu; jak władze umysłowe tępieją; jak siły go opuszczają. Widział się, umierającym samotnie w jakiejś cuchnącej norze lub na ohydnych łóżku rządowego szpitala.

Wzdrygnął się. I nagle zstąpił na niego chłodny, gorzki spokój. Tak; tego człowieka nie trzeba puścić na ulicę, dopóki nie będzie się można pozbyć go z jaką taką szansą ocalenia. Oczywiście, Razumow czuł, że bezpieczeństwu jego samotnej egzystencji wciąż coś grozić będzie, dopóki ten człowiek pozostanie przy życiu i żadna zmiana w urza-

dzeniach państwowych nie zajdzie. Te urządzenia wydały mu się w tej chwili rozsądne i niewzruszone. Tkwiła w nich potęga harmonii i ładu, w przeciwieństwie do straszliwej zawieruchy, jaką ten człowiek wniósł tutaj. Nienawidził tego człowieka. Ale rzekł spokojnie:

— Tak; oczywiście, pójdę. Musisz mi udzielić ścisłych wskazówek, a co do reszty polegaj na mnie.

— Ach! To mój typ! Chłodny, zrównoważony; prawdziwy anglik. Skąd ty wzięłeś taką duszę? Takich niewielu jest u nas. Posłuchaj, bracie. Ludzie mego pokroju nie przechodzą do potomności, ale ich dusze nie giną. Żadna dusza nie ginie... spełnia swe posłannictwo; inaczej jakąż wartość miałoby zaparcie się siebie, męczeństwo, wiara, wszystkie prace duszy? Co stanie się z moją duszą, gdy umrę, tak jak umrzeć muszę, może bardzo niedługo? Nie zginie także. Zrozumiej mnie dobrze, Razumowie. To nie mord, to wojna, wojna. Duch mój żyć będzie w jakimś rosyjskim ciebie, aż wszelki fałsz zniknie ze świata. Dzisiejsza cywilizacja jest fałszem, ale nowa era zabłyśnie nad Rosyą. Ha! nie mówisz nic; nie dowierzasz. Szanuję twój filozoficzny sceptycyzm; lecz niech on nie dotyka duszy, tej duszy rosyjskiej, która żyje we wszystkich nas. Ta dusza ma przyszłość... i ma misję do spełnienia; inaczej, czyż ja... uczyniłbym tę straszną rzecz... jak rzeźnik, siejąc śmierć wśród tych wszystkich niewinnych ludzi, ja! ja! który nie zabiłbym muchy!

— Nie tak głośno — ostrzegł Razumow twardo.

Haldin usiadł nagle, położył głowę na rękach i wybuchnął płaczem. Płakał w ten sposób długo. W pokoju ściemniło się zupełnie. Razumow nieruchomo słuchał tych łkań w ponurem zdumieniu.

Wreszcie tamten podniósł głowę, wstał i wysiłkiem woli opanował głos.

— Tak. Ludzie tacy, jak ja, nie przechodzą do potomności i potomków po sobie nie zostawiają — powtórzył z cicha. — Ale ja mam siostrę i matkę. Namówiłem je w tym roku, żeby wyjechały za granicę — dzięki Bogu. Dobre stworzenie ta moja siostrzyczka. Ma takie śliczne, szczere oczy... Mam nadzieję, że pójdzie dobrze zamaż. Będzie

miała dzieci — może synów. Spójrz na mnie. Ojciec mój był rządowym urzędnikiem na prowincji. Miał także wioskę. Dobry był człowiek, prostoduszny, prawdziwy rosyjanin na swój sposób. Wcielenie posłuszeństwa. Ale jam się w niego nie wdał. Mówią, że jestem podobny do najstarszego brata mojej matki, oficera, którego rozstrzelano w 28 roku za Mikołaja, wiesz... Przecież ci powiedziałem, że to jest wojna... wojna! Ale, o! Boże sprawiedliwy, jakie to ciężkie!

Razumow, siedząc na krześle, z głową opartą na rękę, przemówił, jakby z dna otchłani:

— Wierzysz w Boga, Haldinie?

— Nie chwytaj mnie za słowo. Co cię to obchodzi. Jak to powiedział anglik: „Jest boska dusza w rzeczach...“ Niech to dyabli porwą, nie mogę sobie przypomnieć. Ale powiedział prawdę. Gdy przyjdzie wasz dzień, myśliciele, nie zapomnijcie, co jest boskiego w duszy rosyjskiej... tem czemś jest rezygnacja. Szanujcie to w waszym intelektualnym rozpędzie; nie psujcie waszną pyszną mądrością tego, co ta dusza ma do powiedzenia światu. Mówię do ciebie, jak człowiek mający powrót na szyi.

Kim myślisz, że ja jestem? Istotą zbuntowaną? Nie! To wy, myśliciele, życie w ciągłym buncie. Ja jestem jeden ze zrezygnowanych. Gdy konieczność tej ciężkiej roboty przyszła na mnie i gdy zrozumiałem, że to musi być zrobione, coś uczyniłem? Czym się pysznił moim zamiarem? Czym się nim rozkoszowałem? Czy ważyłem jego skutki? Nie. Byłem zrezygnowany. Powiedziałem sobie: „Niech się dzieje wola Boża“.

Rzucił się na łóżko Razumowa i zasłoniwszy oczy wywróconemi na zewnątrz dłońmi, pozostał tak doskonale nieruchomy i milczący. Nawet nie było słychać, że oddycha. I zapanaowała grobowa cisza, aż w ciszy tej i pomroce ozwał się posępnie głos Razumowa:

— Haldinie!

— Co? — odpowiedział tamten natychmiast, zgola już niewidzialny w ciemności i bez najłżejszego poruszenia.

— Czy nie czas na mnie wyjść?

— Tak, bracie — odpowiedział Haldin i dodał, jakby mówił przez sen — przyszedł czas rzucić rękawicę losowi.

Następnie dał mu kilka zwyciężych, jasnych wskazówek, wciąż tym samym głosem człowieka uspionego. Razumow nie wyrzekłszy słowa gotował się do wyjścia. Gdy wreszcie opuszczał pokój, głos z łóżka rzekł za nim:

— Idź z Bogiem, ty, cicha duszo!

W sieni Razumow zamknął drzwi na klucz i włożył go do kieszeni.

II.

Słowa i wypadki tego wieczora musiały wyźłobić się stalowym rylcem w mózgu pana Razumowa, skoro w wiele miesięcy potem mógł je spisać z taką dokładnością.

Powiedziałbym nawet, że ta dokładność była aż za drobiazgowa, zwłaszcza w zakresie myśli, jakie go opadły, gdy wydobył się wreszcie z pod przytłaczającej go potęgą wielkiej zbrodni i wielkiego fanatyzmu obecności Haldina.

Myśli te wydać się mogą czytelnikowi Zachodu czemś zgola przesadzonem, niewłaściwem, gorszącem nawet, ale tu przypomnieć muszę, że ojczyzną ich nie była Zachodnia Europa.

Być może, iż narody ukształtowały swoje rządy, ale i rządy odpłacali im się tą samą monetą. Nie sposób naprzykład wyobrazić sobie jakiegoś młodego anglika w położeniu pana Razumowa; oczywiście, równie napróżno chciałoby się odgadnąć, co byłby wtedy myślał. To jedynie powiem, że nie mógłby myśleć tak, jak pan Razumow w tej rozstrzygającej chwili jego życia. Anglik nie byłby miał dziedzicznej i osobistej świadomości środków, jakimi historyczna autokracja zwalcza wszelkie idee, strzeże swej władzy i broni swego istnienia. Byłby mógł, biorąc w rachubę jakąś najgorszą ostateczność, przypuścić, że go wtrąca do więzienia, ale nawet w malignie nie byłoby mu przyszło do głowy, że go będą siec różgami i że taką sposób badania lub kary jest wogóle możliwy.

Nie wiem, czy to niebezpieczeństwo stało się wyraźnie przed oczyma pana Razumowa, ale bez wątpienia odegrało nieświadomie rolę w tym zamęcie trwogi, jaki go ogarnął. Dokładnie natomiast zdawał on sobie sprawę z subtelniejszych sposobów, jakimi despotyczny rząd może obezwładnić jednostkę. Proste wydalenie z Uniwersytetu (najłagodniejsza kara, jaka go spotkać mogła) bez prawa dalszego kształcenia się gdzie indziej wystarczała, aby zniweczyć całą przyszłość młodzieńca, który jedynie własną uzdolnieniami miał sobie wywalczyć miejsce w świecie. Był rosyjaninem i jako dla takiego brak dyplomu znaczył to samo, co zepchnięcie go pomiędzy wydziedziczonych nędzarzy, czynił go prosto nocnym ptakiem.

Należy tu również wziąć pod uwagę — aby zrozumieć stan duszy pana Razumowa — jego wyjątkowe rodzinne stosunki, a raczej ich całkowity brak. I on przypominał to sobie także. Toż niedawno w okrutnie dobitny sposób uprzytomnił mu je ten przeklęty Haldin: „Więc dlatego, że nie mam nikogo, to i wszystko inne ma mi być wydarte“, pomyślał z goryczą.

Szedł jednak, jakby popychany jakąś fatalną siłą. Wzdłuż ulic, podobne do jakichś widm, pomykały sanki, brzęcząc w migotliwej białości nocnej śnieżycy.

— Boć to jest zbrodnia — myślał Razumow. — Mord jest mordem. Choć z drugiej strony, jakieś wolnościowe ustawy...

Tu ogarnęła go straszliwa niemoc. Zdawało mu się, że padnie i zemdleje na ulicy, a na samą tę myśl włosy jeżyły mu się ze strachu. Boć, jeżeli padnie, policja go podniesie, odstawia go do jego mieszkania — wszak miał klucz w kieszeni — i znajdą tam Haldina. A do tego za wszelką cenę nie możnaby dopuścić.

I ta paniczna trwoga dodawała mu sił. Na ulicach było pusto. Od czasu do czasu jakiś przechodzień równał się z nim nagle i wymijał bezszelestnie, znikając natychmiast w zadymce.

Znalazłszy się w dzielnicy ubóstwa, Razumow zauważył jakąś staruszkę pookręcaną wystrzępionymi chustami. Była to niewątpliwie bezdomna żebraczka. Chodziła sobie wolnienteńko, piastując pod pachą, jak skarb bezcenny, bochenek czarnego chleba; i Razumow odwróciwszy twarz, pozazdrościł jej spokoju ducha i pogody losu.

Szedł wciąż dalej jakąś nieskończoną długą ulicą, popychany myślą o Haldinie, zamkniętym w jego pokoju, i rozpaczliwem pragnieniem pozbycia się jego obecności.

Gdy wreszcie dowiół się do owej garkuchni i usłyszał, że Ziemianicza niema, osłupiał.

Posługacz, rozczochrany młokos w juchtowych butach i różowej koszuli, powiedział mu, odsłaniając blade dżiśła w głupkowatym uśmiechu, że Ziemianicz był wcześniej popołudniu, wypił „swoje“ i wziawszy dwie butelki pod pachę, poszedł z niemi, zapewne, do swoich koni.

Właściciel szynku, kościsty, niski mężczyzna, w sukienym kaftanie po pięty, stał za ladą z rękami za pasem i kiwał potwierdzająco głową.

Ohydne wyziewy trunków i zjełczanego tłuszczu chwyciły Razumowa za gardło. Uderzył pięścią w stół i wrzasnął:

— Kłamiesz!

Wynędniało, brudne twarze zwróciły się ku niemu. Jakiś obdarty, pijący herbatę przy najbliższym stoliku, przesiadł się dalej. Powstał szmer zdziwienia i niepokoju. Ktoś się roześmiał, ktoś wykrzyknął: „No, no“. Posługacz obejrzał się dokoła i oświadczył zgromadzeniu:

— Baryń nie chce uwierzyć, że Ziemianicz się upił.

Z najdalszego kąta ochrypli głos, należący do jakiegoś wstrętnie obdartego indywiduum, o twarzy czarnej, jak niedźwiedzia morda, zamruczał gniewnie:

— Przeklęty jamszczyk złodziej. Po dyabła nam ten jego „baryń“ tutaj? My tu wszyscy jesteśmy uczciwi ludzie.

Razumow, prz gryzając usta do krwi, by się zmusić do miłozenia, poszedł za właścicielem spelunki, który szepnąwszy mu: „Pójdź za mną, ojczulku“, poprowadził go do małej izdebki za drewnianą ladą, skąd dochodziło pluskanie wody. Obdarłte, mokre, bepciove stworzenie myło szklanki w drewnianym cebrzyku przy świetle wysokiej łójki.

— Tak, ojczulku — wymówił żałośnie człowiek w długim kaftanie. Miał chudą, chytrą twarz i rzadką, siwiejącą brodę. Próbuąc zapalić blaszaną latarkę, tulił ją do piersi i ciągle gadał:

— Pokaże Ziemianicza baryniowi, żeby go przekonać, że się tu kłamstw nie opowiada. I pokaże go pijanym. Kobieta mu wczorajszej nocy uciekła. „Stary grat! A chuda! Tfu!“! splunął. One zawsze od niego uciekały, a on czort, pomimo, że już po sześćdziesiątce, nie mógł się do tego przyzwyczaić. Ale każdy martwi się na swój sposób, a Ziemianicz był głupcem od urodzenia. I zaraz do butelki. „Na frasunek dobry trunek“ mówi. „A kłoby u nas bez butelki wytrzymał“. Ot; prawdziwy ruski człowiek... Proszę za mną.

Razumow przeszedł jakąś zaśnieżoną, kwadratową przestrzeń wtłoczoną pomiędzy wysokie mury o niezliczonej ilości okien. Tu i owdzie poprzez szyby migotało mętne, żółte światło. Całość tych czarnych w kwadrat zestosowanych ze sobą ścian robiła wrażenie jakiegoś ludzkiego mrowiska; olbrzymiego przybytku nędzy, głodu i rozpacz.

Dalszy ciąg nastąpi.



Książka i człowiek — człowiek i książka.

Czytelnictwo u nas w Polsce podczas wojny zmniejszyło się znacznie. Zamiłowanie do książki zginęło prawie zupełnie, choć nigdy zbytnio nie mogliśmy się poszczycić, że u nas naogół kocha się książkę, jako miłego powiernika, doradcę i towarzysza. Książka była zawsze na ostatnim planie w życiu naszych sfer szerokich. Dwuletnia wojna obniżyła jeszcze więcej poziom zainteresowań naszego ogółu, a przecież rozgrywają się wypadki olbrzymiej doniosłości!

Ruch wydawniczy u nas spadł do zera niemal. Zatrważające to zjawisko łagodzi trochę fakt, że rodzące się szkolnictwo polskie wysunęło na forum życia cały szereg palących potrzeb książkowych — ale przecież to nie umiastwia wcale trwogi o intelektualne życie zbiorowiska polskiego.

Wskutek różnych obchodów historycznych w roku zeszłym zjawily się liczne broszury i kompilacje, dotyczące wspomnień tych bolesnych i radosnych czyż jednak tego rodzaju wytwórczość może służyć za dokument naszego życia umysłowego? Ale pozatem czyż nie należałoby radykalnie zmienić poglądu polskiej większości na książkę, na jej rolę i znaczenie? Książka dla przeciętnego polaka — to przedmiot o wartości użytkowej obojętnej. Można go sobie pożywić, wreszcie kupić w razie nagłej potrzeby przy konieczności praktycznej, ale książka nie jest wcale organicznie zrośnięta z życiem naszego ogółu.

Kwestya książki i stosunku jej do człowieka zajęła p. Zdzisława Dębickiego i Jana Bystronia. Zupełnie niezależnie jeden w Warszawie a drugi w Krakowie myśleli nad sprawą „Książki i człowieka” oraz „Człowieka i książki”. P. Zd. Dębicki zbliżył się do zagadnienia od strony intymnej: pokazał, jak człowiek może pogłębić swoje życie wewnętrzne przez umiejętny dobór książek. Mówi on o książce, jak o serdecznej kochance. Włożył w jej stronicę najtkliwsze słowa, wydołwał z książki najśłoneczniejsze zachwyty. Pokazał, jak zazdrośnie, jak ekskluzywnie można kochać świat książek. W nich przecież kryją się państwa marzeń, otlębanie przeczuc, ocean zwartych a krzepiących myśli. Zwalczając przytem Dębicki fałszywe mniemanie, że „o kulturze umysłu stanowi jego czytanie”. „Umiejętne przeczytanie i wżycie się w treść stu arcydzieł daje człowiekowi znacznie więcej, niż powierzchowne pochłonięcie kilku tysięcy książek”. Z racyi tej Zdzisław Dębicki mówi o książce, jako „towarzyszce człowieka”, „Książce dla nikogo”, „Książce dla wszystkich”. Wskazuje na zapomniane perły, kryjące się w tajemniczych bibliotek. Poucza, jaką winna być biblioteka domowa, każe się zastanowić „nad umiejętnością czytania”. I pięknie charakteryzuje „przyjaciół i wrogów książki”, wskazując na koordynację „życia a książki”.

Dr. Jan Bystron natomiast rozważył kwestyę „człowieka i książki” z punktu

widzenia podziału pracy w społeczeństwach nowożytnych. Książka jest dla dra Bystronia nieodłącznym, koniecznym czynnikiem rozwoju. Wcisnęła się już w zróżnicowane życie społeczeństw i bez książki nikt się dziś obyć nie może. Każdy fachowiec, dbający o swój zawód a interesujący się postęпами w dziedzinie swojej specjalności, musi mieć ciągle rękę na pulsie doświadczeń, ulepszeń w swojej gałęzi. Przez książkę i czasopismo zawodowe nieustannie kontroluje nowe zdobycze wiedzy, bo dziś w każdej gałęzi pracują setki tysięcy ludzi i te setki tworzą zdobycze w metodach i rodzajach pracy. Dr. Bystron z racyi tej wskazuje na książkę, jako na indeks pamięciowy dla pracownika. Zresztą obecnie zatracca się osobowość autora w ogólnym charakterze problemu. Problem jakiś jest przedmiotem wysiłków całej plejady uczonych. Książka lub czasopismo stają się wyrazem tych zbiorowych dążeń. Uruchomienie przytem książki jest koniecznością nieodzowną przy pracy: zainteresowany osobnik musi szybko ją mieć. Z tej racyi też w bibliotekach zaprowadza się cały szereg inowacji pod względem układu i katalogowania, jak i sposobów wypożyczania, by książka spełniała swoją rolę prędkiego a gruntownego informatora i nauczyciela praktycznych metod, które mogą i muszą być stosowane w życiu, w pracy. Uczony dawnego typu był człowiekiem stojącym poza życiem. Dziś uczeni biorą czynny udział w życiu, bo organizacja współczesnej pracy wymaga od ludzi praktycznego a celowego użytkowania swoich sił, zasobów i talentów w ogólnym postępie ludzkości.

Dr. Bystron książce wyznacza rolę pośrednika w pracy ludzkiej i sądzi, że rozwój bibliografii umożliwia postęp nauki. Wskazuje przytem, jak w Ameryce świetnie są zorganizowane biblioteki i jak wielką cieszą się frekwencya.

Praca dr. Bystronia uzupełnia wywody Zdzisława Dębickiego. Jest ona pouczająca, gdyż wskazuje, jak wielką rolę odgrywa dziś książka w życiu społeczeństw i jak dziś od książki zależna jest wszelka praca. Przed laty uczeni czytali po 5 lat jedną książkę, a dziś każdy przeciętny człowiek zagląda do książki częściej znacznie, niż to robili ongiś uczeni i doktorzy wiedzy.

Rytm życia współczesnego zmienił się ogromnie. Życie społeczeństw nie da się dziś pomyśleć bez książki, a jednak u nas w Polsce opieszale i niedostatecznie interesują się książką i czasopiśmiennictwem. W społeczeństwach zorganizowanych dziś w walce o byt zwycięża tylko człowiek dobrze uzbrojony w książkę. U nas książka leży jeszcze odłogiem. Jest zaledwie dla wybranych dostępna. Treść jej i wartość rozumieją zaledwie nieliczne jednostki. A przecież służyć winna wszystkim, jako narzędzie niezawodne i jedyne we wszystkich kolejach i na wszystkie przeciwieństwa życia.

Eustachy Czekalski.



Z literatury.

Już ją widzieli idącą.

Edward Słoński, autor „Tej, co nie zginęła”, napisał nowy zbiorek wierszy aktualnych i wydał je w ozdobnej, poręcznej książeczce. W zbiorze tym znajdujemy popularne melodyjne utwory: Już ją widzieli idącą, przed wiosną, w listopadowym słońcu. Następnie i dzień 5 listopada 1916 roku znalazł swój wyraz w prostych zwrotkach.

Królewski ptak na sztandarach
do lotu skrzydła rozwija...
Prawdą to, ziemio polska,
żeś Ty od dzisiaj niczyja?

Pelen sentymentu i odczucia wiersz p. t. „Mój brat” oraz pytanie rzucone „Pod czym przewodem Ojczyźnie pójdzim służyć” zamykają cykl tych utworów, przepojonych krwią serdeczną i miłością dla wielkiej sprawy budownictwa państwa polskiego. Brygadry Piłsudski opiewany jest przytem przez Słońskiego ze specjalną tkliwością. Czyni bowiem Słoński z nazwiska tego symbol walki i woła:

Ten żołnierski wysiłek nadludzki
wy swym dzieciom w kolebkach

Przekażcie,
bo, jak w burzy kapitan na maszcie,
stał dziś w Polsce brygadryer Piłsudski.

Słoński opiewa też bohaterstwo żołnierza polskiego, a poległym stawia ołtarze. Majorowi Wyrwie-Furgalskiemu, który poległ, prowadząc swoich żołnierzy do ataku, Słoński poświęcił cały wizyjny rapsod: „Patrzy major i oczom nie wierzy, Polska stoi na grobach żołnierzy”.

Wiersze Słońskiego podbijają utajonym sentymentem, czcąc dla żołnierza i pociągają rytmem wezbranych uczuć dla „Tej, co ją już widzieli idącą” w rowach strzeleckich wartujących nasi rycerze. Napewno zbiorów ten znajdzie tysiące czytelników i wiersze w nim zawarte staną się pokarmem rzesz, łaknących zagrzewającej do czynów pieśni.

Kalendarz informacyjny Milicyi Miejskiej.

Wydany pod powyższym tytułem pod redakcją p. Wł. Guzowskiego nakł. inż. Sroki kalendarz na rok bieżący odznacza się obfitym b. starannie zestawionym działem informacyjno-adresowym, obejmującym całokształt wszystkich instytucji miejskich i społecznych. Po za tem kalendarz zawiera szereg przepisów i rozporządzeń zasadniczych, co dzięki przejrzystemu układowi, ułatwiającemu orientowanie się w obfitym materiale czyni zeń b. potrzebny w użyciu codziennym informator.

Zalety te podnosi zewnętrzna szata wydawnicza, zwłaszcza efektownie wykonana okładka, przedstawiająca milicyanta, dzierżącego straż przy syrenie.

